Nr. 30 (1283). **Warszawa, 5 Sierpnia (23 Lipca) 1905 r.** **Rok XXV.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
w Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. **50**, rocznie rb. **10**.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Hoża Nr. 19.
Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.
Korespondencyj nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA

Co na to Francya?

Pogłoska, rozpuszczona najpierw wieczorem pamiętnego dnia 19 z. m., powtórzona nazajutrz przez „Matin" i inne dzienniki, a oparta na doniesieniu z Petersburga, dopóty była lekceważoną, dopóki wypadek w niej zapowiedziany, nie stał się rzeczywistym. Dnia 23 z. m. w niedzielę odbył się zjazd cesarzów rosyjskiego i niemieckiego. „Połarnaja Zwiezda" spotkała się z „Hohenzollernem" tego dnia w zatoce Fińskiej, u historycznego miasteczka Björkö (Borgo), a nazajutrz już zawinęła z powrotem do Peterhofu. Nie było wcale ministrów ani na jednym, ani na drugim yachcie, nie było nawet wyższych urzędników, a pomimo to—i może właśnie, w danych okolicznościach dlatego — zjazd, czy spotkanie wyrzeźbiają się przed okiem naszem, jako głęboko polityczne. Cokolwiek było przedmiotem rozmów, musiał je prowadzić interes polityczny, w osoby obu monarchów wcielony, a ponieważ w chwili obecnej i, można powiedzieć od śmierci Bismarcka, żadna istotna chmura nie zaciemnia widnokręgu wzajemnych stosunków między tronami i rządami obu państw, zjazd zatem nosił na sobie charakter zaufania jednej strony do drugiej, był objawem uczuć przyjaznych, był zwłaszcza odwołaniem się do życzliwości cesarza Wilhelma.

Ten charakter przyjacielski zjazdu, — wsparty stwierdzoną przez samego Bülowa d. 10 marca r. b. usilnością uprzednią ze strony Prus do zachowania i przestrzegania przyjaznych stosunków z Rosyą—mógłby, jak to nieraz już w dziejach państw monarchicznych bywało, stać się pierwszym stopniem do takiego zwarcia się obu stron, jako jestestw państwowych, przy którem by już nietylko było można, ale było potrzeba mówić, jeśli nie o sprzymierzeniu się, to o skłonności do przymierza. Ze wszystkich mocarstw europejskich Rosya i Prusy, rozrastające się coraz bardziej w Niemcy, mają w praktyce swojej, w tradycyach, w instytucyach, w metodzie prowadzenia polityki najwięcej warunków sprzyjających postępowaniu ręka w rękę. Przeczy temu wprawdzie przymierze potrójne Niemiec, występujące przeciwko podwójnemu Rosyi z Francyą; ale jeśli sobie przypomnimy genezę zespolenia się dyplomatycznego Prus w r. 1879 z Austryą, a dwa lata później z Włochami, jeżeli uwzględnimy rzuconą w r. 1875 w porozumieniu z Francyą i w interesie Francyi przez księcia Gorczakowa trwogę wojenną, wrzekoma ta sprzeczność pryśnie i spostrzeżemy, że przymierze potrójne budowane było jedynie przeciwko Francyi, że miało ją trzymać na wodzy wtedy jeszcze, kiedy się rwała, przynajmniej w marzeniach i porywach swoich, do czynu, do odwetu za r. 1871, do odzyskania Alzacyi, do wojny.

Tak jest, tylko Francya a nigdy Rosya nie była braną na cel przez twórcę cesarstwa prusko-niemieckiego. Zbyt wiele wspólnych interesów łączyło Prusy z Rosyą, aby człowiek na miejscu Bismarka stojący, nawet bez jego głowy, mógł ich nie widzieć. Jeżeli sam Bismarck w r. 1878 wystąpił przeciwko Rosyi, nie pozwalając jej wyprowadzić na gruncie granic, wytkniętych na papierze traktatu w San-Stefano, to przytem nie powodował się bynajmniej uczuciem nieprzyjaźni: chodziło mu więcej o stanowisko wielkiego rozjemcy europejskiego, o zdobycie centralnego w Europie stanowiska, niż o Turcyą, o świeżo na półwysep wprowadzoną Austryą, wreszcie o wpływ wzmożony Rosyi na ludy bałkańskie. Na kongresie Berlińskim silną sprężyną postępowania niemieckiego była też chęć ograniczenia potęgi, przyćmienia uroku Anglii, która rzeczywistą już zaporę postawiła dalszemu posuwaniu się Rosyi i zapędziła jej wolę w dylemmat: nowa wojna, wojna europejska, lub traktat marcowy. Gdy po traktacie berlińskim Rosya nie mogła w żaden sposób przyjść z pomocą patryotyzmowi francuskiemu, przymierze z Austryą wystarczało do uśmierzania drgawek odwetowych we Francyi.

Nigdy Rosya nie była głównym, bezpośrednim przedmiotem dyplomatycznych robót, czy politycznych nienawiści pruskich, aż dopóki nie stało się w r. 1888 to, co do dziś dnia nosi nieścisłą, nienaukową i praktycznie nieprawdziwą nazwę „alliance". Potem już nie można było się dziwić Bismarckowi, że niekiedy wybuchał, że z gadzinowych funduszów utrzymywał pismaków, bazgrzących przeciwko Rosyi a nietylko zachodnie pogranicze imperyum, ale i w głębi jego leżące obszary, zwłaszcza z kolonistami niemieckimi, zalewał szpiegowstwem. Ale i w tem jeszcze nie było nienawiści ku Rosyi, był raczej gniew na nią, że się z wrogami Prus łączy. Gdyby dziś żył, poznałby, że siedmnaście lat sojuszu upłynęło dla szlachetnych popędów Francyi bezpłodnie, dla Rosyi pożytecznie, dla Niemiec nieszkodliwie. „Alliance" żadnej absolutnie roli nie odegrała w dynamice i statyce politycznej Europy. Przymierze geograficzne, przez samą geografię podyktowane, pozostało martwem. Francya wyrzekła się Alzacyi, Alzacya przestała ciężyć do Francyi; odwet stał się zabytkiem

muzealnym, a jeśli kiedykolwiek Francuzi wyruszą jeszcze nad Ren dla opanowania go, to tylko w imię zasady „granic naturalnych” lub tak, jak działał Ludwik XIV, dla fantazyi. Francya i Rosya są sobie zupełnie niepotrzebne. Marsylianka w Petersburgu była całkiem zbyteczną, była czemś anormalnem a złowieszczem. Stosunki wracają do naturalnej swej normy. Rosya iść zaczyna z Prusami. *Temps* robi gęstą minę, ale śpiewa cienko, bardzo cienko.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Dzienniki francuskie nie ustają w polemizowaniu z niemieckimi o to: czy cesarz Wilhelm sam zaprosił się do Bjorko (Borgo), czy też stawił się tylko na zaproszenie? Kwestya ta wiąże się w umysłach francuzkich ściśle z kwestyą przymierza i rozwiązywaną jest przez pospólstwo dziennikarskie oczywiście w sposób mile głaszczący serca. Jest to ustawianie pałacyków z kart. Tak samo nic poważnego nie mają w sobie dotychczasowe domysły o przedmiotach rozmów i punktach porozumienia się. Dyplomaci *ausser Dienst* przynoszą tu od siebie dziennikarzom szkiełka, które ci dla czytelników szlifują w brylanty. Stare poważane dzienniki współzawodniczą z jarmacznymi i bulwarowymi w podawaniu domysłów za prawdę. Znalazł się nawet jakiś mąż stanu polski, może rozsądniej od innych patrzący na fakt oczyma subjektywnych pragnień i obaw.

Najdalej sięga domysł, że w Bjorko chodziło o Anglię, aby ją zupełnie odosobnić. Anglia nie cieszy się przyjaźnią Rosyi, ma też przeciw sobie i urzędową politykę i nieurzędową opinię Niemiec, a zwłaszcza Prus: Anglię zatem wzięto na cel. Do dwuprzymierza przybywają Niemcy, opowiedziawszy się Austryi w umyślnym liście cesarza Wilhelma do ces. Franc. Józefa, nic się przez to w stosunku Rosyi do Francyi nie zmienia, tylko przyrastają mu dwa skrzydła: z jednego boku Anglia, zbliżona z Francyą, z drugiego Niemcy, zbliżone z Rosyą—figura arcy-zajmująca. Jeżeli co z tych majaczeń wejdzie w rzeczywistość, to chyba tylko współdziałanie Prus z Rosyą na wskazanych tu w przeszłym tygodniu polach polityki zagranicznej, z dodaniem może jeszcze sprawy obsadzenia tronu w Norwegii. Oba rządy nie potrzebują się zbliżać do siebie: są ciągle sobie blizkie; wystarczy im sprężyna wspólnego intesesu do wyprowadzenia energii pokrewnej ze stanu spoczynku. Bismark zanadto jątrzył swą pychą; cesarz Wilhelm jest powściągliwszym, a Bülow jest zawsze posłusznym sługą.

Parlament angielski dał zadość uczynienie Balfourowi: większość 60 głosów (na 450 przeszło głosujących) odrzuciła nowy wniosek Redmonda o obcięcie budżetu Irlandyi. Ta sama większość uchwaliła potem rządowi tego samego dnia inną pozycyę, której się dopominał. Cześć, którą mu przywrócono, była tylko parlamentarną; utraciłby był ludzką, gdyby się sam w porę nie cofnął z nędznego stanowiska zajętego podczas narad nad „Aliens-billem”, który Izba gmin ostatecznie d. 21 z. m. przyjęła; dopiero poprawka narzucona Balfourowi w ostatniej chwili przez kolegów stwierdziła tradycyjną zasadę Narodu angielskiego, że wydawanie innym lub odpychanie od siebie przestępców politycznych jest niegodziwością.

Dzienniki angielskie głoszą, że dla zademonstrowania swych uczuć wobec prawdopodobnej zmowy na Anglię, rząd angielski ma jeszcze przed końcem lata wysłać flotę na Baltyk. Są już nowiniarze, zapowiadający uznanie Baltyku za *mare clausum*; ale głupstwo zdmuchują poważniejsze dzienniki niemieckie.

P. Wittemu przeszkodziła niepogoda wyjechać d. 26 b. m.; opuścił Cherbourg dopiero nazajutrz popołudniu. Jego przeciwnik, a zarazem współzawodnik w kunszcie dyplomatycznym, minister spraw zagr. Komura stanął już na lądzie amerykańskim, już nawet Roosevelt wyprawił mu obiad, a pomocnik jego Sato miał czas zapewnić dziennikarzy, iż wymagania Japonii nie będą nadmierne, a czynności rozpoczną się od sprawdzenia i rozważenia pełnomocnictw. Od tego zaczynają się zawsze wszelkie rokowania traktatowe; ale tu umyślna o formalności wzmianka ma na celu ostrzeżenie, że zbyt krępujące pełnomocnictwo, p. Wittego nie da wróżby dla dalszych układów, chociażby tylko o zawieszenie broni. Na widowni wojennej w Mandżuryi gen. Liniewicz odniósł korzyść—po której dla lepszej koncentracyi cofnął się w tył: zatem znowu szczęście nie dopisało. Pomimo to drugie zrzędu zaklęcie, po onem czerwcowem, podjętą sprawę pokoju podkopać usiłuje. Na Sachalinie opanowana stolica Aleksandrowsk: wyspa już stracona. Niepojęte niedbalstwo zostawiło ją prawie bez obrony. Japończycy mają nowy atut w grze.

Izby szwedzkie na tajemnych posiedzeniach zażądały nowo-wybranego storthingu do orzeczenia, że unia zerwana. Storthing w myśl tej uchwały, nie rozszedł się wprawdzie, ale zarządził *referendum*, odwołanie się do wyborców w d. 13 sierpnia. Mają oni *tak* lub *nie* odpowiedzieć: czy chcą zerwania? Szwedzi nie opierają się takiemu załatwieniu sprawy.

Na Węgrzech leją się całe potoki atramentu w procesie większości posłów cyli koalicyi z rządem i stronnictwem liberalnem. Andrassy, Aponyi, Kossuth, Tisza walczą z sobą na pióra i namiętności. Kristoffy, min. spr. wewnętrznych niekonstytucyjny wrzucił w obóz koalicyjny bombę—: głosowanie powszechne i prace wewnętrzne, prawodawstwo postępowe, demokratyczne, państwowo socyalistyczne. Hasło to powinnoby mieć przyszłość, powinnoby uśmierzyć gorączkę militaryzmu węgierskiego.

ŻYCIE SPOŁECZNE

NA WYŻYNY.

Chwila jest osobliwa, lecz ludzie niebardzo osobliwi. Do tego rodzaju przekonania musi dojść każdy, kto zechce o naszej wartości psychicznej sądzić z zewnętrznych odblasków obecnego życia w duchowej fizyonomii naszej inteligencyi. Zdawałoby się, że wtedy, kiedy najprzeróżniejsze uczucia dosięgają swego zenitu, kiedy miłośc i nienawiśc wznoszą wysoko fale spienionego morza, że wtedy i duch tych, którzy najbliżej są światła, najmocniej żyją życiem wewnętrznym, tą jedyną prawdziwą ostoją jednostki, ocknie się i nabierze siły, młodości i wesela. Zdawałoby się, że kiedy na niebie to straszą czarne chmury, to znowu naprzemian ukazuje się błękitna toń światła, że kiedy życie nabiera takiego czaru, a nowe siły jego zwycięzko

---

1)

RACHILDE.

Naśladowanie śmierci.

Nie, to nic tak znowu nadzyczajnego; minie chwila przykra i przekonywamy się, że to bardzo podobne do życia... Obiecałam ci wszystko opowiedzieć, wyjaśnić wszystko, czego się doznaje, wszystko, co się dzieje, co *jest* jeszcze. Przysięgłam ci *powrócić* [1]) ponieważ to się tak nazywa, więc *wracam*. Nic się nie zmieniło między nami dwojgiem, zawsze myślę jednocześnie z tobą, mówię przez twoje usta, widzą twojemi oczami, tylko nie jestem smutna, nie mam, jak ty, chęci gryźć chustki i płakać, głośno łkając. Jeszcze nie wszystko skończone; przeciwnie, nanowo się zaczyna. Jestem bliżej ciebie, moje ciało już mi nie przeszkadza; leży w szafie, razem z memi sukniami. Było mi wstyd, że się stało tak ciężkie. Obecnie nie mam już żadnej wagi, a jakkolwiek zachowałam żywą pamięć moich poruszeń, kroków, niema już we mnie najmniejszego śladu ciała. Bardzo być może, że utraciłam swoją osobę, ale nie jestem tego pewna. Przykro mi, że po dawnemu ograniczona i nieświadoma, nie będę umiała opowiedzieć o rzeczach tak zupełnie dla mnie nowych. Będę szukać słów, ale jeśli ty się ich nie domyślisz, boję się, że uczucia nasze mogą się różnić. Według mego pojęcia ziemskiego wydaje mi się, że moje konające spojrzenie, oblane światłem zaziemskiem, zatrzymawszy się na twych oczach, pociemniałych z rozpaczy, odbiło w nich wszystkie wydarzenia *wędrówki*, i że ten szereg zdjęć momentalnych, wydobyty z twych źrenic, mógłby przedstawić dzieje mojej śmierci. Nadewszystko trudno mi poznać—*godzinę*. Wszystko się plącze dokoła tego dawnego układu czasu, którego dziś nie rozumiem i to mnie dręczy. Straciłam pojęcie godziny! Rzecz okropna! Nie jestem smutna... ale najmniejsza przeciwność wprawia mię w gniew; mam wrażliwość obnażonego mózgu, myśli, poruszającej się w czystem powietrzu. Zarazem młoda i stara, należąca do dnia dzisiejszego albo do jutra, umarła lub mająca się narodzić—jestem przekonaną, że słyszysz każdą myśl moją, że ją słyszysz natychmiast... choć za zasłoną. Musimy się zrozumieć, ściślej zjednoczyć... Ty mi w tem pomożesz, prawda?

Pierwszą moją myślą po wielkiem wstrząśnieniu było, że uwięzłam w firankach mego łóżka. Przeczułam dobrze, że te firanki staną się moją mogiłą. Za grube są i za ciemne. Trzeba je zdjąć. Chciałam to zrobić tydzień temu... I byłabym sobie oszczędziła tego cierpienia. Nakoniec wstrząsnął mną dreszcz, którego się doznaje, skacząc w może wieczorom, podczas burzy. Nogi mi drżały, zęby szczękały, głowę obejmował żar. I poleciałam w głąb, a dotknąwszy dna, nie wiem, czy znalazłam się w wodzie, czy kto mię stamtąd za włosy wyciągnął, ale obudziłam się w fałdach moich firanek. I dygotałam tam, jak ptak, który ma złamane nóżki, lecz skrzydła wolne do lotu. Poruszałam gwałtownie powiekami, bo chciałam cię zobaczyć i słyszałam twój krzyk: „Nie odchodź! Ja chcę żebyś żyła! żebyś żyła na mojem sercu!” Upewniam cię, że nie miałam wcale ochoty odejść, i że niepotrzebnie tak krzyczałeś. Twój oszalały żal, przeniknął mię nawskroś, i jego to musiałam wziąć za szum morza w burzliwy wieczór, za głuchy pomruk wody, przedarty ostrym krzykiem, wezwaniem, dolatującem z łodzi, rozkazem danym gwizdawką przez kapitana, który widzi, że jego statek tonie. Gdyby lepiej znano przejście z życia do śmierci, unikanoby

[1]) *revenir*—powrócić, *revenant*—powracający z tamtego świata; duch zmarłego.

wypierają wszystko, co stare, co przeżyte, że wówczas i ci, którzy noszą dumne miano—rozumiejących (inteligencyi) staną na wyżynach, które ukazuje życie i jako ci, którzy żyją i żyć pragną, będą żyć szeroko, z rozmachem orła, jasnością słońca i wszechstronnością boga. Zdawałoby się... Zdawałoby się...

Ciężka łapa chwyta za ramię i szepcze: patrz. Nie kusi ona widziadłami, nie dławi rozpaczą, nie wmawia lęku, nie, ona tylko chwyta za ramię i — wskazuje to, co jest, tak, — co jest.

Życie wewnętrzne uległo zmianie. Bezwątpienia, osłabły przeróżne narowy chwilowe, przyzwyczajenia utraciły wpływ absorbujący i poczęły się budzić nowe uczucia, odradzać zamarłe siły. Jeszcze biały śnieg pokrywał płaszczyzny bezdrożne, a już z pod niego tu i tam poczęły wybijać się na wierzch kiełki świadczące, że w głębi duszy tych rozleniwiałych inteligentów coś wre, coś rośnie. Lecz skoro śniegi spłynęły, i ze stanu przeżuwania, przeczuwania należało zrobić krok dalej — powiew wiatru zmroził delikatne roślinki — i poczęto w zamieszaniu—rozprawiać.

Inni okazali swe siły, inni przejawili swą żywotność. Ci zaś, co tak pięknie o zmierzchu deklamowali, co tak przejmująco mówili o odczuciu serc tysiącznych, stoją w milczeniu lub—gwarzą.

Zapanowała straszna choroba. Zaraza nie opuściła swych ukochanych, nie pozostawiła ich bez pamiątki. Znaczna większość inteligentów słabuje na wycieńczenie i anemię. Najstraszniejszym objawem tych ułomności jest zanik zdolności do czynu, zanik energii — czynnej; wszelka treść życia współczesnego wypowiada się wtedy wyłącznie przez wchłanianie wrażeń i reagowanie na nie jedynie za pomocą odruchu uczuciowego, i to do tej tylko chwili, kiedy ten ze stanu psychicznego danej jednostki może wyłonić się nazewnątrz w formie działania. Inteligencya dotąd tylko się przypatruje.

Różnorodne bezwątpienia jest to przypatrywanie się. Przeważnie dalekiem jest ono od obojętnego spoglądania na odbywające się przed oczyma igrzyska. Lecz cóż z tego łamania rąk, tragicznych gestów, surowych min, skoro wszystkie one są tylko dokumentowaniem milczenia, osobistem przejściem pewnych jednostek.

Niektórzy w oryginalny sposób oszukują samych siebie (zapewne w najlepszych zamiarach) i, wybrawszy pewne urojenie, rzucają się na słomianego chochoła, okładają go pięściami, łając od ostatnich; w ten sposób wyładowywują oni swoją energię. Dla okrasy nadaje mu się imiona różnych osób, które miały szczęście urazić w ten lub inny sposób „krewkiego" osobnika—i używa się aż do ochrypnięcia. Urojony przeciwnik naturalnie nie odzywa się, bo jest on fikcyą świadomie zbudowaną. Walczyć na podstawie faktów i prawdy—to zbyt trudne i wymaga pewnego przygotowania, łatwiej więc piać o własnej wielkości i cieszyć wyznawców taktyki ujadania. Ludzie ci w zapamiętałości swojej łudzą się, że coś czynią, że czemś służą społeczeństwu, a w istocie w najpoważniejszej chwili zajmują się puszczaniem baniek mydlanych lub wywracaniem koziołków. O innej walce, o czemkolwiek „dziejącem się" oni nie wiedzą. Rozrywka, którą ofiarowują publiczności, bawi wielu i wywołuje poklask. Zawsze to przyjemniej podziwiać nawet niezgrabnych „koziołkowców", niż brać udział czynny i odpowiedzialny w rzeczach, które są mniej efektowane, lecz zato nieco bardziej ryzykowne.

Inni wahają się i milczą. Nieraz już o nich mówiłem. Wahają się, lękając się wejść na wyżyny. Na nizinie wśród małych pagórków widać tylko wieś poblizką, czasem zamajaczy jakaś szkółka, kościół lub śpichlerz nadworny. A w głębi ducha coś żyje, niepokoi, tęskni, kołacze. A w głębi ducha niepokój jakiś drażni, trwoży, przeraża. I głosy te pobudzają do żywszego oddechu, śmielszego spojrzenia... A tu nagle wybuchła burza — piorun uderza—i wszystko milknie. Nic to, że innych piorun nie przeraża, że śmiało w znoju i pocie pną się na szczyty, pozostawiając krwawy ślad na stokach gór. To są inni — z innej gliny. My tylko żyjemy intelektualnie, a więc—możemy być słabi, ślepi i głusi. O, my możemy dyskutować i łająć się od pseudopostępców, lecz tam, kędy wszyscy stanąć powinni, tam nas—niema.

A słońce za chmurami, a dusza pełna niepokoju i przeczucia.

Nie zastąpi jej słońca najuczeńsze pełzanie, najkunsztowniejsze opluwanie najliczniejszego grona osób, nie zastąpi przywoływanie do przeróżnych ćwiczeń, które ją mają rozerwać i przynieść jej zapomnienie. Najsłabsza, skoro raz przeczuła najdalszy odgłos świadomości swojej tęsknoty, skoro choć na krótką jak błyskawica chwilę poznała, czem jest ta tęsknota, czem jest ona sama, skoro choć tylko zdaleka ujrzała na niebie promieniejący znak, nie zamrze i nie zagaśnie. Słabi będą ją wlec po błocie, będą się rozkoszować płytkim konceptem, będą świadomość swą przydławiać obłudą, fałszem, plotkarstwem, będą jej śpiewać przeróżne kołysanki, wymachiwać przed nią błazeńskiemi grzechotkami, to znów straszyć i biczować. Ona jednak nie zapomni, że była chwila, kiedy cud wewnętrznego przełomu był blizki. Choć własna jej słabość zagasiła błyskawicę piorunu, co miał ją spłomienić i odrodzić, jednak wspomnienie owej chwili pozostało i będzie ciągłą męką. Wszelkie próby samogwałtu lub samobójstwa spełzną na niczem.

Bezwątpienia, dziś przeważa w życiu jednostek strona duchowa, która wypływa z ich współżycia. Wspólne podłoże, wspólne warunki zewnętrzne, które uosabiają w sobie wszystko to, czem jest powietrze dla płuc, są dziś jedyną myślą wszystkich żyjących, jedynym celem i jedynem pożądaniem. Lecz aby spłacić dług ten, należny współżyciu, trzeba poczuć, że jest on i długim względem nas samych, że jest warunkiem istnienia dla życia indywidualnego jednostki. Godnie odpowiedzieć wezwaniu, jakie dziś życie śle na wszystkie strony, może ten tylko, kto ma w duszy swej własne słońce, siłę własną, aby sprostać powadze chwili. Życie odrębne, indywidualne kształtuje jaźń człowieka, a szare pionki na szczyty piąć się nie mogą.

A więc niech oczy wpatrzą się w słońce i nabiorą blasku i jasności. Niech spadnie z nich łuska, którą nałożyła choroba bezczynu, i niech ujrzą one drogę na szczyty, drogę, którą już liczne zastępy podążają. Widzimy je, patrzymy na nie, jednak zachowujemy się tak, jak gdyby działo się to wszystko za jakąś zasłoną szklaną, jak gdyby było to jakieś widowisko — tylko widowisko. Współczujemy, współradujemy się lub smucimy albo ogarnia nas zgroza i przerażenie. Po chwili jednak otrząsamy się i spokojnie, jak po zapuszczeniu zasłony, wracamy do domu, przeżuwając wrażenia. A przecież idzie tu o nas samych, o najtajniejszy skarb duszy.

Do słońca! Aby patrzeć na nie należy mieć silne płuca, które mogą oddychać powietrzem szczytów, i silne oczy, których blask nie olśni a czerwień nie przerazi. Tam, kędy dążą zastępy, tam znajdziemy

---

krzyku i nie stawianoby wielkich wymagań. Trzeba łagodnie dokonać rozdziału dwóch stanów, strzegąc się pogorszyć położenie... Wszystko, co mąci spokój duszy, może w tej stanowczej chwili odrzeć ją z rezygnacyi wstąpienia na nową drogę, zobaczenia. Och, zobaczyć! Jest to jedyne pragnienie, które pozostaje. Tak pożądałam światła... aby wyraźnie rozpoznać drogę, bo musi ich być kilka... Czy aby dobrze wybrałam? czy tę, którą należało? Pod temi firankami nie widziałam zupełnie nic. Aksamit wchłaniał świat, nawet moje oczy. Miałam wrażenie, że wsiąkał we mnie przez ich gałki, i nie życzę najgorszej mojej nieprzyjaciółce takich męczarni.

Nasze firanki wyprawne! Pamiętasz, jak tapicer oświadczył nam uroczystym tonem: „Jeżeli państwo nie godzą się na styl nowy, to trzeba zrobić w stylu Henryka II". A Henryk II to te baldachiny, które podczas procesyi obnoszą dookoła kościołów na prowincyi, z ciężkiej materyi, obwieszone torsadami, węzłami, frędzlami, tu i owdzie przetknięte miedzią—groźne sklepienie przerznięte błyskawicami. Nie było mi nigdy swojo pod tym baldychinem Henryka II. Był zbyt poważny dla naszej młodej miłości. Trzeba, żebyś wyrzucił te draperye monumentalne. Nie będzie ci nigdy dobrze w ich cieniu.

Należy przyznać, że w ostatniej chwili zajmują nas rzeczy dziwnego rodzaju. Nie są to myśli o zbawieniu duszy, ani o nieznanej potędze, mogącej surowo nas osądzić, lecz niepokoją nas składki materyi zawieszonej nad nami, drzwi, które otwierają się lub zamykają, poruszenie, które probujemy uczynić i które powtarza się do nieskończoności w perspektywie naszej woli, które trwa po za granicami ruchu fizycznego. Nie mam już rąk, a załamuję je jeszcze nad mem czołem, szukając punktu oparcia z głupim uporem tonącego, spadającego głową na dół.

Jak wystraszony ptak bije skrzydłami, tak ja mrugałam powiekami przez godzinę. (Przez godzinę, czy przez całą noc?) A potem *powróciłam*. Nie miałam już ani powiek, ani skrzydeł. Byłam leciuchną i płynęłam ku tobie w kropli wody. Zsuwałam się po twym policzku, ramieniu, ręce, palcu wskazującym. Obtarłeś mię, jako jedną z twych łez. Wyszedłszy z twego zrozpaczonego spojrzenia, wróciłam w ciebie nanowo przez twe usta. Mówiąc o kropli wody, używam tylko pewnego sposobu wyrażenia, gdyż nie mogę określić dokładnie, czem jestem w istocie. Przedstawiam ci moje uczucia, a to nie jest rzeczą bardzo łatwą, gdy uczuć nie można oprzeć na czuciach. Wiem, że znajduję się na twem sercu, tak jak chciałeś, jak wołałeś... (Boże mój, pocoś ty krzyczał tym strasznym głosem, który mię dochodził z głębi morza). Jestem w tobie, mówię w tobie, i tylko dla ciebie. Tak jestem blizko ciebie, że rozłączenie wydaje się niepodobieństwem, nawet gdybyś miał umrzeć także; ale oddycham z trudnością, bo mię dusi aksamit tych firanek i ciemności twoich łez. Przeraża mię coś, czego nie widzą z po za nich. Coś tu jest ukrytego. Czyżby umarli nie wiedzieli wszystkiego? Ty słyszysz mię, tak jak ja słyszę ciebie; nie wątpię o tem, choć sama nie posiadam już uszu dla chwytania odpowiedzi wyrazowych. Ty mnie nosisz tak, jak ja nosiłam moje biedne maleństwo. Twoje serce jest... brzemienne. Oby tylko z tego powodu nie pękło! Moje usiłowanie osobiste nie ma znaczenia. Nie mogę ani chcieć, ani czuć. Mogę robić to tylko, co ty robisz... przez całą wieczność.

(C. d. n.)

radość życia, zdobędziemy treść zagadki, tam staniemy mocną stopą i wydamy okrzyk: Ecce sumus!

Dotąd na nizinach, gdzie chwasty obrosły, nogi nasze tak, iż kroku uczynić nie możemy, słyszymy tylko okrzyki ze szczytów. Są to głosy tryumfu, walki, wdzierania się, bólu, śmierci staczających się w przepaść, i znowu głosy wiary, dążenia, czynu. Wśród nich od czasu do czasu dochodzi okrzyk, którego słowa mówią — o nas. Słyszymy wołanie: Gdzie wy?

Wołanie to spływa na niziny między tych, którzy gawędzą i... Aby uśpić wstyd, jaki ono budzi, aby uspokoić wyrzuty, jakie niesie, wymyśliliśmy jedno: podnieśliśmy do poziomu czynu gadaninę i wmawiamy w siebie, że i my bacznem uchem nadsłuchujemy szelestu wichrów, że i my czujnem sercem zwracamy się w stronę, gdzie niebo czerwieni się, że i my jesteśmy czujni duchem, bo—bo mile czas przepędzamy na pogawędce o kwestyach bieżących.

Ciągle słyszymy o zmęczonych duszach współczesnych. Lecz one właśnie łakną cudu odrodzenia, tęsknią do chwili, kiedy życie rozpędem swym da im nową siłę, bo same o własnej nie mogą jej wykrzesać, a bez niej marnieją i giną. I dlatego jeżeli przeoczą chwilę i nie posłyszą wzrastającego szumu fal, to nic im nie pozostanie, tylko—śmierć. Kto widoku życia znieść nie może, kto chroni się przed niem za sztuczne parawany, ten musi zczeznąć bez śladu, między żywymi niema dlań miejsca.

br.

NA DOBIE.

Społeczeństwo polskie przeżywało już chwile podobne do dzisiejszych, były one o tyle pomyślniejsze, żeśmy wówczas sami o sobie stanowić mogli, o tyle smutniejsze, że mogąc coś zrobić, woleliśmy siedzieć bezczynnie, bojąc się samym ruchem narazić na stratę części tego, co w całości wymykało się z rąk naszych.

Stosunki włościańskie, jądro kwestyi społecznej w XVIII i XIX wieku, wymagały gwałtownie regulacyi. Najliczniejsza i najprodukcyjniejsza część ludności, której liczba już w 1820 roku wynosiła 3,520,355 głów, w początku ubiegłego stulecia nie posiadała żadnych praw, stanowiła własność stosunkowo nielicznej garści posiadaczy ziemskich. A własność ta była tak zupełną, że dopiero 1768 roku odebrano szlachcie prawo życia i śmierci nad włościanami, prawo zaś ścigania włościan, porzucających ziemię przekazano kompetencyi sądów w roku 1776. Włościanie więc w końcu XVIII wieku stanowili inwentarz roboczy, stworzony na obraz i podobieństwo człowieka. Inwentarz ten umiał jednak czuć i myśleć; fala świadomości skrzydzonej godności ludzkiej, natrafiając na tamę interesów ekonomicznych popieranych przez dumę i samolubstwo szlachty, rosła i w rozwoju swym groziła zniszczeniem wszystkiemu, co krępowało jej ruchy.

W przewidywaniu niebezpieczeństwa otwierano upusty: konstytucya 3 maja 1791 r. orzekła, że Rząd bierze ludność włościańską pod opiekę prawa. Prawo 26 kwietnia 1792 przyznało części włościan wieczyste posiadanie osad i gruntów w królewszczyznach. Uniwersałem wydanym pod Połańcem 7 maja 1794 r., Kościuszko przyznał ludowi prawo przenoszenia się z miejsca na miejsce. Wszystko to jednak nie dawało dostatecznego upustu nagromadzonej sile wiekowych krzywd i poniżenia. Uregulowania potoku podjęły się ręce obce. Ustawa konstytucyjna, sformowanego przez Napoleona Księztwa Warszawskiego, z dnia 22 lipca 1807 r. w artykule 4 głosi: „Znosi się niewola. Wszyscy obywatele są równi przed obliczem prawa—stan osób pozostaje pod opieką trybunałów". Godność ludzką polskiemu chłopu przyznał Cesarz Francuzów. Było to jednak tylko połowiczne załatwienie kwestyi. Strona ekonomiczna bytu włościan pozostała nietkniętą; niedość na tem, byt ich znacznie się pogorszył. Dekret Króla Saskiego z dnia 21 grudnia 1807 r. określił wolność rolników włościan w ten sposób, że im nadał prawa zmiany miejsca pobytu, szlachtę zaś ograniczył w prawie wypowiedzenia tego miejsca na przeciąg roku. A więc włościan rolników oddzielono od ziemi; zepchnięto do roli wolnych parobków. Pod wpływem haseł równości i swobody dokonano u nas ostatniego aktu wywłaszczenia włościan. Nadanie osobistej wolności rolnikowi, jednocześnie z pokrzywdzeniem jego stanu ekonomicznego, czyniło krzywdę jego tem większą. Rosły tamy, zwężały się koryta potoków. Dziedzice, korzystając z przysługujących im praw, wypędzali całe gromady dawnych włościan pańszczyźnianych ze wsi, które równano z ziemią i obracano na grunta dworskie dla zaokrąglenia folwarków. Prądy rewolucyjne, jakie przenikały nasze społeczeństwo około 1830 r., nie sięgały wyżyn kwestyi społecznej. Zaostrzały się antagonizmy klasowe, pogorszało położenie ludzi; jednocześnie zaczęto rozumieć, że lud ten mógłby się przydać, jako narzędzie w walce politycznej; i w imię tej idei emigracya i jej emisaryusze, nie dla dobra ludu, lecz w celach partyjno-politycznych żądała reformy stosunków włościańskich. W ruchu socyalnym widziano główny środek wywołania rewolucyi narodowej polskiej. Rozumieli to włościanie. Mając z jednej strony rząd, z drugiej społeczeństwo, z którem prócz mowy nic wspólnego ich nie łączyło i, widząc, że każdy z tych czynników kokietuje ich dla swych celów, wybrali ten, który podług ich przekonania był silniejszym, a więc łatwiej mógł użyć ich ciężkiemu położeniu i wysłuchać ich pragnień, ich pożądań społecznych. Rzeź Galicyjska była straszną odpowiedzią na usiłowania odbudowania Polski przy pomocy ludu. W Królestwie Polskiem ukaz 26 maja 1846 roku, a następnie reforma włościańska 1864 r. utwierdziły ich w przekonaniu, że nadzieje, pokładane w rządzie, nie były mylne.

Reforma 1864 roku uregulowała bieg fali, ale tylko chwilowo. W obecnej chwili fala ta, jak powiedziałem niżej, zaczyna znowu bić w brzegi nasypu, a siła jej ogromna. Liczba ludności bezrolnej, podług danych urzędowych, sięga miliona głów. Liczba małorolnych, na którą składają się przedewszystkiem właściciele osad poniżej 3 morgów, wynosi 107,574 rodzin. Po za tem istnieje kategorya właścicieli włościan, których byt materyalny nie jest dostatecznie zapewniony. Są to posiadacze osad powyżej trzech morgów, lecz nie mają oni koni (102,618 osad) a nawet krów (17,704 osady)—razem 120,322 osady. Dodając cyfrę tę do ilości osad niżej 3 morgów, otrzymamy 227,896 właścicieli włościan, którzy na drobnych swych działkach nie mogą wygospodarować nawet nędznych środków do życia. Razem z bezrolnymi, którzy, licząc 5 głów na rodzinę, uczynią 200 tysięcy rodzin, jest więc w kraju przeszło 400,000 rodzin, albo 2,000,000 głów ludności wiejskiej, ściśle związanej z ziemią, a nieposiadającej jej wcale lub tak mało, że byt ich graniczy z nędzą. [1]).

Kwestya uregulowania ekonomicznego bytu tej masy bezrolnych i małorolnych staje znowu na porządku dziennym. Trzeba wyjść przeciw falom i ułatwić im drogę póki czas. W Poznańskiem i w Galicyi rolę tę przyjmują na siebie racyonalnie zorganizowane instytucye parcelacyjne.

St. Staniszewski.

[1]) Ekonomista rok 1903.

Pod berłem pruskiem.

Hakatyzm w poznańskiej radzie miejskiej. — Bank Związku spółek zarobkowych a Centralna kasa w Berlinie. — Ze spraw wyborczych. — „Straż" w Prusach Zachodnich.—Mazurzy w Westfalii.—W oczekiwaniu spisu ludności.—Inowrocław-Hohensalz.

Dotychczasowa gospodarka miejska w Poznaniu — przynajmniej pod względem finansowym—była solą w oku hakatystów i poznańskiego „Tageblatu". Pomimo ustawicznych krzyków, że własność polska rok rocznie czyni tu olbrzymie postępy, zagrażając miastu utratą jego cechy niemieckiej, pomimo utyskiwań ciągłych na brak uczucia patryotycznego właścicieli niemieckich, sprzedawano grunta, kierując się jedynie względami finansowymi. Jeśli Polak dał więcej od Niemca, grunt oddawano Polakowi. W prawdzie magistrat poznański, na którego czele stoi dr. Wilmo, i dotychczas rządzi się względami bezstronności, ale w samej radzie miejskiej powiał duch inny. Hakatyści poczynają podnosić tam głos, zwłaszcza kiedy udało się im wygryźć nietylko z rady miejskiej, ale i z Poznania uprzedniego przewodniczącego — d-ra Lewinsky'ego. Stanowisko Lewinsky'ego, który wyniósł się do Berlina, zajął radca Salz, wielką popularnością nawet w kołach polskich cieszący się adwokat poznański. Wkrótce pokazało się, że wolnomyślny Salz oddał się na usługi hakatystów i popiera ich żądania.

Świeżo wydarzył się fakt, jaskrawo oświetlający tendencye hakatystyczne nowego przewodniczącego poznańskiej rady miejskiej. Oto jeden z kamieniczników polskich zaproponował miastu odstąpienie po bardzo niskiej cenie części gruntu dla uregulowania komunikacyi w pewnej dzielnicy miasta, ale wzamian za to żądał, ażeby mu odprzedano grunt miejski przy innej ulicy. Jakkolwiek nikt nie przeczył nawet, że propozycya jest dla miasta bardzo dogodna, jednakże odrzucono ją na tajnem posiedzeniu rady miejskiej jedynie z tego powodu, że ten kawałek gruntów miejskich miał przejść w ręce Polaka. I szalę zwycięztwa przechylił na korzyć hakatystów właśnie wolnomyślny przewodniczący Salz, przy głosowaniu bowiem okazała się równość głosów, więc p. Salz, jako przewodniczący, musiał rozstrzygnąć—i rozstrzygnął w duchu żądań hakatystów.

Przy tej sposobności ujawniło się niedbalstwo radnych Polaków, którzy na powyższe posiedzenie nie stawili się w komplecie. Zresztą dobór ich nie jest zbyt szczęśliwy, gdyż niektórzy wprost nie mogą sumiennie pełnić swych obowiązków. Taki radny dr. Chłapowski jest np. posłem na sejm i do parlamentu, a więc w zimie przebywa w Berlinie, w lecie ordynuje u wód, a pozatem jest członkiem rady nadzorczej w banku i pełni jeszcze parę obowiązków honorowych. Wobec tego może być w radzie miejskiej tylko gościem, którego brak najczęściej w chwilach najnieodpowiedniejszych.

Podczas głośnego procesu banku ludowego w Bytomiu ktoś z oskarżonych nadmienił, że po za bankiem „Związku spółek zarobkowych", udzielającym kredytu bankowi bytomskiemu, stoi pruska Centralna kasa w Berlinie. Stąd wielki hałas w prasie hakatystycznej, że niemiecka instytucya popiera polskie banki, działające na szkodę Niemców. Pokazało się, że twierdzenie jakoby bank „Związku spółek zarobkowych" korzystał z kredytu Centralnej kasy jest nieprawdziwe, ponieważ wszelkie stosunki dwóch tych instytucyj ustały już

przed dwoma laty. Ale właśnie historya tych stosunków, czy raczej ich ustania jest bardzo charakterystyczną, dowodzi bowiem, że interesy natury czysto finansowej z obu stron zostały podporządkowane interesom narodowościowym.

Kredyt udzielany polskim spółkom z kasy Centralnej za pośrednictwem Banku spółek zarobkowych, wynosił początkowo 200.000 m. rocznie, ale stopniowo ulegał zmniejszeniu, aż spadł do sumy 85.700 marek. Ale i ten, stosunkowo nieznaczny, został zawarunkowany całym szeregiem zobowiązań ze strony spółek polskich. Te ostatnie miały przyjmować jako spólników członków-Niemców, o ile ci się zgłoszą. Członkowie-Niemcy mieli prawo tak ustnie, jak piśmiennie posługiwać się językiem niemieckim w stosunkach ze spółką i na walnem zebraniu. I w stosunku do nich miał być używany język niemiecki. Spółka ma drukować swe ogłoszenia i po niemiecku przynajmniej w jednem z pism niemieckich, czytywanem w okolicy spółki. Posiadając w swem gronie Niemców, będzie prowadziła protokóły z wolnych zebrań po niemiecku i po polsku.

Na wszystkie te warunki spółki się godziły, chcąc w ten sposób zdobyć członków i pomiędzy Niemcami. Kiedy jednakże Centralna kasa postawiła warunek, aby i te spółki, które żadnego członka-Niemca nie posiadają, zamieszczały swe obwieszczenia w pismach niemieckich, cierpliwość opuściła Bank spółek. Zresztą wobec ustawicznie wzrastających zasobów tego banku stale uszczuplany kredyt Kasy centralnej przestał już mieć dla niego znaczenie.

Zerwanie stosunków z Kasą berlińską uwolniło Bank od niepotrzebnego wydatku na ogłoszenia w rozmaitych rządowych i hakatystycznych „blatach", żadnej zaś szkody mu nie przyniosło. Właśnie w ostatnich czasach daje się spostrzedz ogromny wzrost kapitałów Banku Związku spółek zarobkowych, a w końcu maja r. b. walne zebranie tej instytucyi uchwaliło wydać 2000 nowych akcyi, podwyższając w ten sposób kapitał zakładowy z 1-go miliona marek do trzech. Wzrost kapitału zakładowego Banku Związku spółek zarobkowych przedstawia się w ten sposób. Rok 1885 (rok założenia) — 40.000 m.; 1884 — 500.000; 1900—1.000.000;—1905—3.000.000.

Sprawa kandydatury — ks. Abramskiego w okręgu opolskim nie przestaje budzić zgorszenia w kołach narodowo - polskich tem bardziej, że ujawniła się przy tej sposobności samowola — redaktora „Gazety Opolskiej". Długoletnie wysługiwanie się centrowcom uczyniło p. Koraszewskiego wiernym ich sojusznikiem; nietylko wdał się on w układy z centrowcami, nietylko bez wiedzy i woli komitetu prowincyonalnego uznał kandydaturę ks. Abramskiego, ale jeszcze wpływał na delegatów okręgu opolskiego w duchu nieprzyjaznym dla komitetu prowincyonalnego, którego władzę sam uznał. P. Koraszewski poszedł za przykładem p. Napieralskiego z „Katolika", który, uznając zwierzchnictwo polskich władz wyborczych i zawiadamiając, że te władze uchwaliły kandydaturę p. Korfantego, popiera dość przejrzyście kandydaturę jego przeciwnika — ks. Kapicy.

W okręgu katowicko-zabrskim szanse p. Korfantego nie stoją zbyt świetnie. Jego kontrkandydat centrowiec — ks. Kapica nie jest tak skompromitowany, jak Letocha, z którym zmagał się p. Korfanty w r. 1903, a na pomoc P. P. S. przy wyborach ściślejszych p. Korfanty nie może w żadnym razie liczyć. Zapadła bowiem uchwała, że wobec naśladowania przez p. Korfantego taktyki lwowskiego „Słowa Polskiego" żaden uczciwy robotnik opolski nie może oddać nań głosu. Wybór więc p. Korfantego mógłby przyjść do skutku, gdyby otrzymał daleko więcej głosów od ks. Kapicy—tak, że przy wyborach ściślejszych nie potrzebowałby niczyjej pomocy. Czy mu się to jednak uda, bardzo wątpliwe wobec jawnej niechęci ze strony bardzo jeszcze wpływowego „Katolika".

W Toruniu odbył się zjazd „Straży" w celu wciągnięcia do tej organizacyi Prus Zachodnich. Zebrało się oprócz prezesa—p. Kościelskiego i kilku członków zarządu dwudziestu kilku obywateli z Prus. Uznając jednomyślnie potrzeby rozszerzenia towarzystwa na Prusy Zachodnie, zebrani wykazywali trudności, polegające głównie na braku ludzi odpowiednich. Społeczeństwo polskie w Prusach Zachodnich znacznie się różni pod względem swego składu od społeczeństwa poznańskiego. Kiedy bowiem w tem ostatniem szlachta wciąż jeszcze odgrywa rolę przewodnią, w Prusach Zachodnich Polacy właściciele większej posiadłości ziemskiej — to niedobitki, a ster spraw publicznych przechodzi w ręce inteligencyi i drobnego mieszczaństwa. Szlachta, popierana przez kler, zazdrośnie broni swoich dawnych przywilejów, nieuznanych przez wydobywające się na powierzchnię żywioły. Stąd rozdźwięk niedający się załagodzić. Dla tego też na zjazd „Straży" przybyła tylko szlachta, nie stawiły się natomiast inne warstwy—te właśnie, na których „Straż" w Prusach Zachodnich mogłaby się istotnie oprzeć. Wobec tego zebrani postanowili nie przystępować do wyboru mężów zaufania. Uchwalono zwołać drugi zjazd, na którym byłyby reprezentowane szersze koła społeczeństwa miejscowego. Ma się on odbyć w punkcie dogodniejszym, w centrum prowincyi położonym. Na to zebranie mogą być zaproszeni i przedstawiciele resztek szlachty kaszubskiej, która się jeszcze nie zniemczyła. Być może, „Straży" uda się nawiązać z nią stosunki i uratować przynajmniej to, co pozostało, od niechybnej zagłady.

W Poznańskiem organizacya „Straży" czyni szybkie postępy. Ułożyła ona plan podziału całej prowincyi na 46 starostw, które znów dzielą się na poszczególne obwody czyli komisaryaty. Poznań ma być zorganizowany w ten sposób, że na każdą ulicę zostaną mianowani komisarze, do których mogą się zgłaszać kandydaci na członków i płacić składki.

W Kościanie został założony nowy bank parcelacyjny. Na czele jego stanęli: poseł dr. Alfred Chłapowski i kupiec Swoboda—Kaisertren, znany ze swej ruchliwości właściciel miejscowego banku rolniczego. Bank ten był bardzo potrzebny w tym punkcie, gdyż komisya kolonizacyjna poczęła już tam zapuszczać zagony i to w gospodarstwa bogatych włościan. W ostatnich czasach sprzedało tam dwóch gospodarzy 250 mórg komisyi i Landbankowi. Nowy bank parcelacyjny został tak zorganizowany, że mogą doń przystąpić i mniej zamożni, kupując udziały na raty. Z drugiej strony w celu zapobieżenia dążnościom spekulacyjnym została określona zgóry najwyższa dywidenda, jakiej bank nie może przekroczyć.

Z powodu wznowienia po paruletniej przerwie pisma dla Mazurów wschodnio-pruskich w postaci „Gońca Mazurskiego", wydawanego przez p. Karasa w Ostrodzie, dortmundzki „Dziennik Polski" porusza myśl oddziaływania na robotników mazurskich, których przeszło 30,000 pracuje w Westfalii. „Dziennik Polski" nawołuje swoich czytelników do szerzenia „Gońca Mazurskiego" wśród kolegów — Mazurów, pracujących po kopalniach i fabrykach westfalskich.

Wskazując, że i Ślązacy jeszcze nie tak dawno uważali się za „Prusaków, mówiących po polsku", „Dziennik Polski" dowodzi, że należy za pomocą „Gońca Mazurskiego" zbliżać Mazurów do stowarzyszeń polskich, aby poczuli się również Polakami. Radzi więc ich wciągać do organizacyj zwykłych i zwłaszcza wyborczych. Ponieważ jednak Mazurzy są protestantami, polskie zaś komitety wyborcze w regulaminie swym na pierwszem miejscu zastrzegają, że są przeznaczone dla Polaków-katolików, przeto „Dziennik Polski" domaga się, aby z regulaminu wyborczego usunąć tę klauzulę. Ciekawe, co na to powiedzą klerykali, dla których interesy katolicyzmu są bezwarunkowo droższe od interesów polskości? Wszakżeż i zaniedbanie Mazowsza pruskiego przez działaczy poznańskich tłómaczy się niczem innem—jak tylko wyłącznością katolicką tych ostatnich, traktujących Mazurów za to, że są protestantami, jak coś zupełnie obcego.

Dnia 1-go grudnia odbędzie się w całych Niemczech spis ludności, i obecnie już czynią się przygotowania. Do formularzy, służących do zapisywania poszczególnych osób, wciągnięto tym razem charakterystyczne zapytanie: „jeśli mowa ojczysta nie jest niemiecka, to czy właściciel każdy mówi płynnie po niemiecku?" Zdradliwe to pytanie prawdopodobnie posłuży do użytku polityki germanizacyjnej. Być może, że wszystkich tych, którzy mówią płynnie po niemiecku, zaliczy się do Niemców. Wobec tego pisma już dzisiaj przestrzegają, aby ludność polska nie dała się na to złapać i zaznaczała, że po niemiecku płynnie nie mówi.

Komiczny wypadek przytrafił się jakiemuś Niemcowi, jadącemu z Prus Zachodnich do Inowrocławia. Zażądał on biletów „nach Inowroclaw", alę kasyer odpowiedział mu z całą arogancyą urzędnika - hakatysty, że taka miejscowość nie istnieje. Pasażer, który widocznie nic nie wiedział o przechrzczeniu Inowrocławia na „Hohensalz", począł udowodniać kasyerowi, że taka stacya istnieje, że jest to jedno z większych miast w Poznańskiem i że w żaden sposób nie mogło ono zniknąć. Po długich ceregielach kasyer wyniośle poinformował „zacofanego" pasażera, że Inowrocławia niema, ale jest Hohensalz. Przejezdny zażądał tedy biletu do Hohensalz, ale jakież było jego zdumienie, kiedy mu wydano bilet z napisem „nach Inowroclaw" — najwidoczniej bowiem kasy kolejowe nie zdążyły się jeszcze zaopatrzyć w bilety z nową nazwą. Ale teraz przyszła kolej udręczeń na kasyera, gdyż pasażer nie chciał w żaden sposób przyjąć biletu do miejscowości, która, jak go zapewniano, nie istnieje. Wszczął więc długą polemikę z kasyerem, i ten wreszcie musiał przekreślić na bilecie napis „Inowroclaw" i zastąpić go „Hohensalzem". *Pośrednik.*

Z Zagłębia Dąbrowskiego.

Straciliśmy jedyny organ Zagłębia, *Kuryer Sosnowiecki*, jedyną placówkę społeczną o szerszym prawnym fundamencie.

Dlaczego? Czyż ogół miejscowy nie stać było na utrzymanie tygodnika, kosztującego rubli 4 rocznie? I czyż Zagłębie, obejmujące Sosnowice, Dąbrowę, Będzin, Zawiercie, Częstochowę i liczące kilkakroć sto tysięcy mieszkańców nie powinno posiadać swego dziennika większych rozmiarów?

Kuryer Sosnowiecki powstał w r. 1901, kiedy było jeszcze trudno uzyskać koncesyę na pismo o szerszym zakresie. To też musiał zamknąć się w ciasnych i ściśle ograniczonych ramach. Mógł poruszać sprawy li tylko miejscowe, lecz i to dla mieszkańców było bardzo wiele. Spraw palących, a wymagających wszechstronnego omówienia—nigdy u nas nie brakowało i nie

zabraknie, szczególnie obecnie, gdy zainteresowanie kwestyami społecznemi budzi się wśród mas najszerszych.

Tymczasem, właśnie teraz *Kuryer Sosnowiecki* przestał istnieć, gdyż nie posiadał dostatecznej liczby prenumeratorów i przynosił wydawcy zamiast zysku, znaczne straty.

Pismo jak *Kuryer Sosnowiecki*, o bardzo małych zasobach materyalnych — mogłoby się rozwinąć tylko wtedy, gdyby oparło się na najszerszych masach i znalazło wśród nich zainteresowanie i poparcie. Niestety, wydawcy starali się przedewszystkiem o poparcie swych blizkich, a więc zawodowców-inteligentów. Są oni w Zagłębiu liczni, lecz widocznie zamało uspołecznieni, ażeby ocenić doniosłość „placówki", a zbyt leniwi i tchórzliwi, aby wziąć w rękę pióro i zabrać głos w sprawach, ogół obchodzących.

To też *Kur. Sosn.* pozostawiony własnym siłom, a prowadzony z początku przez człowieka niemającego żadnej idei, żadnych zasad społecznych, nie mógł należycie objąć wszystkich spraw i wzbudzić życia wśród drzemiących duchowo Zagłębian.

Inteligencya lekceważyła go, a jeżeli prenumerowała, to traktowała to, jako filantropię.

Dla mas robotniczych *Kur. Sosn.* w ciągu lat pierwszych nie istniał. Nie posiadał działu polityki i nie poruszał spraw, obchodzących warstwy pracujące a przeto nie przedstawiał dla nich żadnej wartości.

Pismo więc wegietowało, a jego kierownicy literaccy zmieniali się ciągle, gdyż nie mogli pogodzić się z ciasnemi wymaganiami wydawcy i grupy jego najbliższych — demokratów burżuazyjnych.

Dopiero w ostatnich czasach warunki zmieniły się do pewnego stopnia. Kierownikiem literackim został człowiek młody, pełen zapału i odwagi, który nie pozwolił radaktorowi zamykać się w ramach „wody z cukrem", a począł czynić wysiłki, aby *Kur. Sosn.* stał się istotnie żywotnym i budzącym życie.

Oceniając należycie, że aby *Kuryer* mógł stać się placówką społeczną, a nie organem demokracyi burżuazyjnej, powinien być wyrazem potrzeb robotników, tych najliczniejszych mieszkańców Zagłębia,— postarał się o stałe korespondencye robotnicze. „Gawędy robociarza" powoli zainteresowały robotników, poczęły się pojawiać nawet ich głosy, polemizujące z nim na łamach *Kuryera*. Pismo stawało się żywotnem. Lecz za to inteligentom, podobało się coraz mniej. Robociarz krytykował urządzenia fabryczne, nawet swych „starszych braci", panów inżynierów, lekarzy i urzędników.

Wreszcie przyszedł strajk lutowy. Na odezwy pseudo-demokratów pojawił się w *Kuryerze* pod ich wrażeniem gorący artykuł „Robactwo". To dopełniło miary. W ospałych filistrach zbudziło się nasamprzód zdziwienie niepomierne, a potem zajadłość. Jakto?! W naszym organie wymierzono nam taki policzek?! Zgnieść śmiałka, który poważył się nadepnąć tak boleśnie. Biedny redaktor i wydawca—w jednej osobie—napróżno przysięgał, że nic nie winien, bo o niczem nie wiedział. Przebudzona ze śpiączki gromada przeróżnych patryotów podwórkowych wszczęła alarm i zadzwoniła na trwogę! Protesty i żądania wykreślenia z listy prenumeratorów nadsyłano do redakcyi codziennie.

Kuryer Sosnowiecki, ogłoszony za pismo „szkodliwe" i „nienarodowe", został skazany na zagładę. Przestano go prenumerować, lecz czytano, skwapliwie notując wszystko, co miało być dowodem jego nieprawomyślności. Chociaż więc wśród sfer robotniczych zyskiwał coraz większą poczytność i na tej drodze mógł z czasem znaleźć daleko trwalsze oparcie materyalne, niż dotąd, to jednak wydawca, przestraszony piorunami ze strony dusz bratnich i przygnębiony ciągłemi niedomaganiami materyalnemi, wydawnictwo zawiesił.

I doprawdy, dobrze zrobił, bo, jeżeli miało wychodzić w dalszym ciągu z takim kierunkiem, jaki miało za redakcyi D-ra W. Talki, który drukował artykuły poświęcone uczczeniu zasług miejscowego naczelnika straży ziemskiej—to stokroć lepiej, że istnieć przestało.

Należy przypuszczać, że znajdą się u nas tacy, którzy wkrótce obejmą tę placówkę i stworzą organ, gdzie wszystkie sprawy miejscowe, jakie nas obchodzą i bolą, znajdą istotnie oddźwięk.

Ma się rozumieć, że to „nas" nie może oznaczać redakcyi i jej najbliższych, nas, t. j. „starszych braci", nas, t. j. „czoło społeczeństwa", nas, t. j. „dobrze płatne sługi przemysłu i handlu", lecz najszerszy ogół mieszkańców Zagłębia, a więc i najbiedniejsze, najciemniejsze jego masy. *W.*

FEJLETON

PAMIĘTNIK.

Gdzie wstyd?

Skończył się strajk piekarzy. Czeladnicy postawili żądania, które właściciele piekarń przyjęli. Wśród tych żądań, w szeregu zmierzających do poprawy warunków materyalnych pracy, nad miarę już niejednokrotnie wyzyskiwanej, uderzają następujące: *Urządzenie jadalni i ubieralni oraz wanny do mycia przy zakładzie*, a dla uczniów *zniesienie zwyczaju spania i jadania w fabrykach i warsztatach*. A więc potrzeba było aż strajku, ażeby czystość i hygiena mogły wejść do miejsc, (skąd ludność całego miasta otrzymuje podstawę swego pożywienia—chleb; potrzeba było przymusu, nacisku ze strony pracujących, ażeby panów fabrykantów nakłonić do przyjęcia urządzeń, których zakładom ich nie powinno było nigdy brakować. Wprowadzenia kulturalności do piekarń warszawskich podjęli się ciemni, niekulturalni, w ciężkiej pracy zahukani robotnicy, na których dotąd zrzucano zawsze wszelką odpowiedzialność za brudy, panujące w piekarniach i niepotrzebne dodatki w pieczywie. Gdzie wasz wstyd, panowie fabrykanci?

od.

Kłopotliwa sprawa.

Wśród lekarzy i dyagnostyków, trapiącej społeczeństwo nasze „słabości" szkolnej, nie zabrakło głosu wiernego sługi państwa, p. Stanisława Skarżyńskiego. Wypowiedziawszy w *Kur. Warsz.* cały szereg komunałów, o które niewarto nawet potrącić piórem, p. Skarżyński wystąpił z paru wnioskami godnymi jego stanowiska, ale które należy poddać pod sąd—choćby czysto pedagogiczny. W gorącem pragnieniu dopomożenia do rozcięcia kłopotliwego węzła p. S. proponuje podział przedmiotów nauczania na przedmioty kultury wewnętrznej jak: historya, literatura, języki starożytne, geografia, kosmografia i nauk przyrodniczych i doświadczalnych t. j. matemaka, geometrya, fizyka, chemia, botanika, mineralogia. Wykład pierwszych należy prowadzić jedynie w języku polskim, ale drugich „utrzymując wykład w języku polskiem" równolegle po rosyjsku a nawet po niemiecku. Taki program—według pana Skarzyńskiego—„usunąłby groźne nieporozumienie, które zapanowało w dziedzinie szkolnictwa pomiędzy społeczeństwem a rządem". Pominąwszy tę stronę projektu p. Skarżyńskiego, która staje w rażącej sprzeczności z żądaniami ogółu, zdumieni jesteśmy jego grubą nieznajomością najgłówniejszych zarzutów jakie czyniono szkole dotychczasowej: do nowego domu chciałby on wprowadzić widma, które grasowały w starym. Takiego braku zastanowienia nawet najgorliwsze służby usprawiedliwić nie mogą.

ps.

Ton szczerości.

„Otóż, zdaje się, że zawsze jeszcze w stosunku do „młodszej braci" pozostał nam pewien sentymentalizm odświętny, pewien ton apostolski, misyjny; zbliżamy się do ludu w imię naszych potrzeb i obowiązków patryotycznych, jak do żywiołu obcego, który należy oswoić i pozyskać, cieszymy się każdym objawem uświadomienia, ale ile razy wchodzi w grę interes klasowy, okazuje się, że stoimy twardo na gruncie interesów własnych, że na zrozumienie wypadków ze stanowiska potrzeb chłopskich, na zrozumienie dążeń, czy objawów rozwoju chłopskiej energii i chłopskiego rozumu, w sposób objektywny a przychylny nie stać nas jeszcze."

...„Powiedzieć można napewno, że w poszczególnych wypadkach upór, krótkowidztwo, nieumiejętność postępowania z chłopami, pozbawiały właścicieli zupełnie realnych korzyści, potęgując zarazem rozdział klasowy i rozdrażnienie wzajemne. Z drugiej strony ani jedna z tych spraw, któremi życie samo kierowało, otwierając klapę bezpieczeństwa i dając ujście dążeniu ludu do poprawy bytu, ani sprawa kolonizacyi, ani parcelacyi, ani wychodźstwa na zarobek nie znajdowała bezstronnej oceny wśród szerokiego ogółu ziemiaństwa: wszystkie te objawy nie przedstawiały się jako czynniki ekonomiczne takiej, a takiej wartości, ale jako ciężkie nawiedzenie kraju przez klęskę elementarną, grożącą powszechną ruiną."

Takie wynurzania czytamy w Nr. 324 *Gońca wieczornego*. I ktoby się był spodział, że narodowi demokraci wejdą kiedykolwiek na tę drogę, że zawdzięczać im będziemy chwilę tak radosnego zdumienia. Duch czasu! duch czasu z najtwardszych głów krzesze iskry światła!

g.

Zdenerwowanie.

Powszechnie skarżą się dziś na zdenerwowanie. Weszło to już w zwyczaj. Utyskiwanie to, do pewnego stopnia uzasadnione, niemile jednak uderza nawet niezbyt wrażliwe jednostki. Jakiś rozłzawiony sentymentalizm, jakieś znużenie samem przyglądaniem się. Bezwątpienia, każda poważniejsza chwila dziejowa trzyma nerwy w silnem napięciu, wymagając dostrojenia się do swego poziomu. Dzisiejsze jednak zdenerwowanie naszej inteligencyi nosi wybitne cechy niedołęztwa, zaniku wszelkiej treści żywotniejszej. Zastraszająco wszyscy jesteśmy słabi, nie umiemy czuwać, nie umiemy cierpieć, wierzyć i dążyć. A przecież przykładów, wzorów nam nie brak. Napięcie nerwów, to nie osłabienie ich a ich ekstaza, najintensywniejszy ich oddźwięk. U ludzi żywych jest ono silne, twórcze i namiętne. Jest wyrazem nagromadzonej energii prącej do uzewnętrznienia się.

zb.

Przepełnienie lombardów.

Smutne i ciekawe dane liczebne podały dzienniki warszawskie. Przytoczyły one cyfry ze sprawozdania lombardu miejskiego. Otóż zarówno główny oddział, jak i li-

łie przepełnione są zastawionemi rzeczami. W składzie niema już prawie miejsca, w kasie tylko resztki kapitału obrotowego. Jakto?—zapyta czytelnik — a towarzystwo dobroczynności, a roboty publiczne, a tak licznie wychwalane łaski przeróżnych fabrykantów i domorosłych filantropów? — Najumiejętniej stosowana filantropia (a więc nie warszawska) obejmuje z konieczności szczupły zakres ludności, przeważnie procederzystów, którzy z początku z musu i głodu, a następnie z dobrej woli pozostają na lekkim chlebie jałmużny. Nie należy mięszać ich jednak z wyzyskiwaczami i oszustami. Są to ludzie słabi bez energii, przytłoczeni nędzą, apatycznie wyciągający rękę. Po za nimi tysiące cierpi głód, mrze nawet z niego, lecz mają w sobie dumę i nie żebrzą. Zastawiają, chwytają najgorszą, najcięższą pracę i—wkońcu nie znajdują jej. Gdyby martwe przedmioty umiały czuć i mówić, wiele okropnych, cichych tragedyj opowiedziałyby nam te „fanty“ lombardowe. A przecież głoszą, że przemysł się odrodził. Tak, lecz głodni pozostali głodnymi, nędzarze dzisiejsi, a wczoraj jeszcze jako tako się mający robotnicy, nie wykupują—„fantów”. Nawet ci, którzy pracę znaleźli, mogą zaledwie pokryć wydatki, których przeróżne przejścia namnożyły bez liku.

Zapewne fanty w lombardach długo jeszcze leżeć będą i długo jeszcze snuć się będą po ulicach wygłodniałe postaci, lecz w tem wszystkiem jest jedna wielka, potężna prawda, która coraz mocniej zaczyna się przejawiać. Dojrzeć ją — rzecz łatwa, należy tylko chcieć i módz. *bz.*

Kantory.

Słuszną sprawę poruszył *Kuryer Codz.* w sprawozdaniu z posiedzeń sądowych: mianowicie kantorów pośredniczących przy szukaniu pracy. Pobierają one wysokie opłaty, spekulując na gorączkowym nastroju poszukujących zajęcia i, obdzierając ich, nierzadko wyprowadzają w pole, nie dawszy nawet posady, za której wyszukanie pobrali opłatę. Zapewne, poszkodowani mogą się zwracać do sądu, kantory przecież składają kaucyę, lecz niestety w tych drobnych sprawach rzadko kiedy pokrzywdzeni dochodzą swego. Zresztą zachowywanie pozorów prawnych nie jest tu zbyt trudnem. Tylko bojkot kantorów, które tak zgrabnie manewrują opłatami, może wywołać pewną zmianę. Inaczej wszelkie użalania się do niczego nie doprowadzą. *p.*

Bank rzemieślniczy.

Od dłuższego czasu pisma codzienne wspominają o naradach pewnego grona osób co do założenia banku, któryby ułatwił drobnym rzemieślnikom uzyskanie kredytu. Projekt ten, zasługujący na uwagę i poparcie, jest, zdaje się, blizkim urzeczywistnienia. Słusznie jednak przestrzega *Kuryer Codzienny* przed niebezpieczeństwem wprowadzenia przedsięwzięcia na fałszywą drogę. Idzie o to, aby inicyatorzy potrafili zerwać ze zwykłą u nas metodą uważania podobnego rodzaju poczynań za filantropię. Tylko wtedy, kiedy sami zainteresowani zdobędą się na akt samopomocy i wezmą kierownictwo instytucyi w swe ręce, zyska ona grunt pod nogami, jako rzecz konieczna i niezbędna. Zależność od łaski czyjejkolwiek okulawi najlepiej pomyślany plan i uczyni sprawę potrzebną—rzeczą martwą i bezsilne. *ł.*

Mądre postanowienie.

Mądry podług mnie zamiar powzięli technicy warszawscy. Postanowili oni na zebraniu warszawskiego Towarzystwa Technicznego wspólnemi siłami założyć szkołę. Pomijam szczegóły wykonania tego projektu. Idzie mi o samą myśl. Sądzę, że jest to jedyne poważne traktowanie tak palącej sprawy, jaką jest sprawa szkolna. Prawie wszyscy się dziś godzą na to, że najlepszym typem zakładu naukowego jest taki, który obcy jest wszelkiemu charakterowi przedsiębiorstwa, a takim może być tylko zakład utrzymywany przez społeczeństwo. Jakże wybitnie wyżej stoją technicy od tych panków warszawskich, co raczyli polecić społeczeństwu wypełnienie ich woli, nie zatroskawszy się o rozwiązanie palącej sprawy. *mn.*

BADANIA NAUKOWE

Achilles Loria.

Socyologia, jej zadania, szkoły i najnowsze postępy.

Autor w systematycznym wykładzie streszcza poglądy socyologiczne najwybitniejszych myślicieli, wykazując przytem okoliczności, sprzyjające powstaniu tej lub owej szkoły, broni też gorąco prawa socyologi do zajęcia w szeregu nauk miejsca niezależnego, bo „każdy zrozumie, że ostateczne jej zadanie jest daleko wyższe, niż to, które sobie dotychczas poszczególne nauki społeczne zakreśliły“. Zadanie to Loria omawia w sposób następujący: „Wykryć tę komórkę jednolitą z której wywodzą się wszystkie zjawiska społeczne, zbadać proces wyłaniania się z niej różnych zjawisk społecznych, wniknąć w ich związki organiczne, polegające na wzajemnem powinowactwie lub pierwotnej identyczności, wreszcie z budowy i przeobrażeń samej komórki wyprowadzić budowę i przemiany organizmu społecznego, będącego tylko wytworem tej ostatniej—oto funkcya, oto cel socyologii. W swej nowożytnej szacie jest ona przeto nauką, szukającą źródła rozlicznych zjawisk społecznych, badającą wzajemne połączenie, budowę, rozwój całkowity, statykę i dynamikę oraz warunki życia, fazy i momenty charakterystyczne, które przechodziło, ona wykrywa prawa i ich następstwa, wyznacza drogę rozwoju społecznego“. Wychodząc z powyższego założenia naukowego, choć pod względem językowym niedość ścisłego w pierwszej swej części, Loria w dalszym ciągu zbija przypuszczenia, że socyologia jest filozofią historyi, spadkobierczynią filozofii prawa, żeby miała „zdławić w swych olbrzymich ramionach” zakresy poszczególnych nauk społecznych. Socyologia ma inne zadanie i Loria tak je określa: „usystematyzuje ona i ułoży wyniki różnych nauk społecznych przez to, że sprowadzi je do wspólnego mianownika, że wyjaśni konieczność ich pochodzenia z pewnej jednolitej grupy przyczyn lub zjawisk wytwórczych”.

Po tym wstępie, przechodzi autor do streszczenia teoryj socyologicznych, opartych 1) na gruncie psychologicznym (zalicza tu Saint Simona, Comte'a oraz uczniów tego drugiego), 2) na podstawie biologicznej (a więc Spencera i jego następców), 3) na podstawie ekonomicznej. Streszczenia zwięzłe, poprzedzone wyjaśnieniem warunków, sprzyjających zjawieniu się poszczególnej teoryi, opatrzone krytyką, odpowiadają w zupełności swemu przeznaczeniu. Są tam jednak zdania, niedostatecznie ugruntowane, np. twierdzenie, że wszystkie najwspanialsze odkrycia dokonywane były zawsze po dwa razy. Wprost niezgodne z ostatnimi wynikami wiedzy jest następujące uogólnienie Lorii: „proces rozwoju ludzkości składa się z całego szeregu faz historycznych, z których każda nadaje jej radykalnie odmienne rysy charakteru, formy i prawa; *zrazu komunizm, potem niewola, później feudalizm, w końcu system płacy zarobkowej—jako podstawa porządku społecznego.*

Fazy, wskazane przez Lorię, nie mogą być uważane za stopnie rozwoju pojedynczych społeczeństw choćby dlatego, że niewolnictwo jest zjawiskiem istniejącem w różnych ustrojach społecznych i przy różnych sposobach produkcyi i gospodarstwa. (Meyer).

Chwiejnym jest ustęp, traktujący o nakazie moralnym, opierającym się w starożytności na strachu, w wiekach średnich na religii, w naszych czasach na opinii publicznej, jak również to. że w łonie społeczeństwa, rządzonego wyłącznie przez klasę posiadającą, przyjąć się mogą ustawy, korzystne dla mas ubogich.

Autor przedstawił nam swe zapatrywania na metodę badań najwłaściwszych dla socyologii, oraz na pierwszą przyczynę zjawisk społecznych, szkoła bowiem „materyalistycznego poglądu na historyę”, jak mówi Loria „sprowadzając wszystkie zjawiska społeczne do warunków ekonomicznych, nie tłomaczy jeszcze, co jest powodem tego stanu ekonomicznego, który sam z siebie kształtuje i tworzy cały byt społeczeństwa”. Otóż metodą, której socyologia przeważnie używa i której zawdzięcza postępy, jest metoda porównawcza. Autor wyjaśnia, że porównanie może być: językoznawcze, historyczno-rozwojowe albo kolonialne. To ostatnie pozwala mu odkryć „problem pierwszej przyczyny zjawisk socyalnych, którego nie rozwiązały żadne poprzednie dociekania socyologiczne”. Podług Lorii, stosunki ekonomiczne są koniecznym wytworem stopnia zajęcia i wydajności ziemi. Stanowisko powyższe Lorii, wywołało protest ze strony Engelsa, który zauważył, że „rozumowania i przykłady historyczne Lorii pełne są błędów, których niemożnaby przebaczyć nawet uczniowi 4-ej klasy”. Samo zaś odkrycie Lorii nie może mieć decydującego znaczenia, bo „pierwsza przyczyna” zjawisk społecznych opierać się musi na innych przyczynach i nie da się zastosować do wszystkich społeczeństw.

W ostatnim rozdziale dziełka: „Socyologiczne badanie rodziny” autor powiada: „rodzina patryarchalna, ten od wieków niezmiennie, lub z nieznacznemi zmianami trwający ustrój nie istniała zawsze; przed nią panowała wręcz przeciwna organizacya rodzinnego życia, z której wyrósł zupełnie do naszego niepodobny porządek społeczny, zupełnie inna kultura”. Tą poprzednią organizacyą, która wszędzie miała poprzedzać patryarchat, był matryarchat. Twierdzenie to nie liczy się ze zdaniem, wypowiedzianem w tym względzie przez cały szereg uczonych (Westermarck, Grosse, Starcke), a spopularyzowanem u nas przez Krzywickiego. „Formy rodziny i małżeństwa, mówi on, zależą od ukształtowania się i wzajemnego stosunku dorobków mężczyzny i kobiety”, a dalej „w razie, gdy pierwotne myśliwstwo przechodziło w państwo, mężczyzna stawał się panem rodziny, żona i dzieci jego niewolnikami”.

LITERATURA I SZTUKA

GEORGES EEKHOUD.

Na przeróżnych wystawach sztuki plastycznej Zachodu uderzały widzów od dość już względnie długiego czasu dziwne rzeźby. Były to postacie fizycznie silne: muskularne ręce i barki, kanciasto plastyczne plecy mówiły o ciężarach, jakie zwykły podnosić. Byli to jacyś dotąd niewidzialni wędrowcy—były to nowe, piękne ciała. Piękno ich obce jest jasnemu, radosnemu zadumaniu posągów greckich; linie są zupełnie inne: łagodnych przejść, melodyjnych zaokrągleń nie znają, nie znają też rozlanej w całej postaci pogodnej harmonii. Przeważnie skupienie na jednym wyrazie, na jednym charakterystycznym znaku; ten wyraz—ostre, surowe ruchy i nastrój zatroskanej, pochmurnej zadumy. Twarze ich mają odrębną mowę; nie są one smutne, raczej posępne. Maluje się na nich jakieś przeczucie, jakaś budząca się świadomość siły, plastyka i moc żywego „ja" ludzkiego. Piękno tych posągów nie narodziło się z podniety promieni słońca i kultury ciała, lecz wyszło ono z ciemnej nory, kształtowała je ciężka praca, ustawiczne naprężanie mięśni.

Posągi te—to nieśmiertelne dzieła Constantin Meunier'a. W poezyi słowa—to wizya twórcze Georges Eekhoud'a.

Czemu wybrali oni tę postać dla swego przejawu twórczego! Czy, jak głoszą niektórzy, li tylko przez ukochanie społeczne, czy też dla niepospolitości umysłu lub innych przyczyn? Sądzę, że odpowiedź może być jedna: ujrzeli w nich—nowe piękno...

Odrębny wyraz mają niektóre kanały flamandskie. Wśród prawie zupełnie gładkiej równiny leży szeroki pas nieruchomej wody, zazwyczaj szaro chmurnej, cichej. Czasem tylko wiatr ją poruszy, czasem ptak zatrzepocze skrzydłami i znowu—cicho. Ciszy tej nic nie mąci nawet za dnia, kiedy płyną tratwy i statki; brzegiem wody suną postacie milczące i ciągną — holują domy pływające. Posuwają się one krokiem miarowym, z podaną naprzód piersią, pochyloną głową; posępne ich czoła pokrywa pot, pierś silnie rozwinięta oddycha powoli, ręce pociemniałe od słońca chwytają od czasu do czasu za sznur. — Podobne postaci łatwo napotkać w porcie, na przystani. Gną się one pod ciężarem pakownych skrzyń, lub leżą na słońcu i patrzą—przed siebie.— Tych samych pełno po miastach belgijskich przy budowlach, po wsiach — przy żniwie, orce i innej walce z ziemią.

Twarze ich nie mają głośnego wyrazu. Na pierwsze wejrzenie są bezbarwne, posępne, jednakowe. Dopiero po bliższem wpatrzeniu się widać niezwykle łagodne oczy, mówiące wiele o tem, co się w tych barbarzyńcach kryje. Skoro się one roześmieją, wtedy twarz ożywia się, nabiera wyrazu, staje się mówniejszą. — I oto — na placu, kędyś za stojącym na wyniosłem wzgórzu Pałacu Sprawiedliwości w Brukselli ciekawy przechodzień spotkał pewnego razu grupę mocujących się wyrostków. Ich śmiechy rozlegały się, jak rżenie źrebaków, ciała zmagały się zręczne i gibkie. Widzowie całem „ja" brali udział w walce. Było w nich wszystkich coś pierwotnie zmysłowego. Ozłoceni promieniami słońca, cieszyli się swą siłą, swą młodością, swą świeżością żywotną. Przechodniem był on—artysta. Ujrzał i poznał nowe piękno.

Artystą szczerym i poważnym jest G. Eekhoud. Czerpie on z tego nowego skarbu, tworząc ciekawe, poważne rzeczy. Główna ich treść to owo nowe piękno. W tych brutalnych, pierwotnie zmysłowych jaźniach ukrytą jest niepospolita moc jego ekspresyi. Jest ona jak wielkie piękno—nieokreślona. Porywa ta jedność siły napięcia życiowego. Gra muskułów nabiera szczególnej wagi. Całość tych postaci to wielkość porywu życia, to radość rozkoszy istnienia—wielkie, nowe piękno.

Stroskani pustką, znużeni świadomością, rozbiciem i szarzyzną intelektualni wędrowcy ku nowym szlakom twórczym dojrzeli je... i następuje połączenie pierwotnej, zmysłowej natury z wysubtelnionem odczuciem człowieka, stojącego na szczycie kultury. Zbliżenie się dwu tych pierwiastków, uwydatnia artystycznie ostatnia powieść G. Eekhoud'a—„l'Autre vue". Pomimo pozornej różnicy zbliża je jedność wszechistnienia, zbliża wspólny głód życia, różni uświadomienie. Są to bliźnięta, pijące rozkosz z jednej czary, istniejące jednakowym rozmachem bezwładności. Różni je jednolitość i poziom, zbliża—życie i jego głosy.

Stanowisko Eekhoud'a w literaturze współczesnej wspaniale określił Remy de Gourmont w swojej „Livre des masques". Mówi on tam: „Niewiele jest dramaturgów wśród młodych literatów; dramaturgów to znaczy zapalonych obserwatorów dramatu ludzkiego, obdarzonych tym darem szerokiej sympatyi, która budzi w pisarzu braterski stosunek do wszystkich rodzajów i postaci życia. Jednym poruszenia pospólstwa wydają się godnemi pogardy; prawdopodobnie pozbawieni są oni zdolności uogólnienia filozoficznego, które podnosi do wysokości tragedyi najprostsze zajście. Inni znów świadomie dążą do upraszczania wszystkiego; badają oni fakty i porównywają tylko dla tego, aby wyciągnąć z nich wywody i kwintesencyę; czują oni skrupuły i jakby wstydliwość opowiadać o mechanizmach tak często opisywanych; dają oni portrety duszy, zachowując z anatomii fizycznej wyłącznie to tylko, co może podnieść grę barw.

Tego rodzaju sztuka... jest znamieniem widocznego braku namiętności; dramaturg zaś jest to namiętny, szalony kochanek życia i to życia współczesnego, a nie rzeczy wczorajszych, nie wyobrażeń martwych, których zagasłych ozdób poszukują w ołowianych trumnach; rozkochany jest on w istotach z dnia dzisiejszego z całem ich pięknem zwierzęcym, z ich brzydotą zwierzęcą, z ich ciemną duszą i z prawdziwą krwią, która wybucha z serca, a nie z nadętego pęcherza, jeżeli pojawiają się puginały w piętym akcie. G. Eekhoud jest tym dramaturgiem namiętnym pijącym życie i krew... „Nie czyni on żadnego wyboru; pojmuje wszystko, bo kocha wszystko"...

Uwielbienie dla życia... Zapewne każdy szczery artysta jest głosem życia; ono jest tak tysiącznobarwne i nieskończone w swych przejawach. Dziś jednak w głodzie życia rozbrzmiewa coraz głośniej struna tęsknoty za istnieniem silnem, bezpośrednim i jednolitem. Uwielbienie dla życia wypowiada się dziś coraz mocniej w kulcie dla zmysłu istnienia. Jaźń wewnętrzna licznego szeregu artystów, odsuwając na stronę wszelką przetwarzającą pracę umysłu i serca, wszelkie świadomie budowane gmachy, zwraca się wyłącznie w stronę jednolitego pędu życiowego.

Życie w ich oczach najpotężniej wybucha wtedy, kiedy gna jak strumień górski po stokach skał z hukiem i łoskotem, nie zatrzymując się ani na jedną chwilkę, aż padnie w szerokie wody wielkiej rzeki i zamilknie—nazawsze. Życie silnie pulsujące krwią i szałem, radujące się dziecięcą jasnością promieni słońca, nieznające rozłamu i przewagi myśli—życie to rozwarło nowe, daleko sięgające horyzonty dla twórczości artystycznej.

Nie będę powtarzał charakterystyki podłoża psychologicznego tego odrodzenia tęsknoty za życiem jednolitem, nieuświadomionem, instynktownem. Mówiłem już o tem przy innej sposobności. Z tego wspólnego gruntu wyrastają najróżnorodniejsze drzewa. Jedni tęsknią, jako chore rośliny, stojące w kącie oranżeryi, których łodygi delikatnie, boleśnie zwracają się w stronę promieni światła. Inni—jako przepaleni dzisiejszą cywilizacyą neurastenicy, szukają nowych wrażeń, pragną galwanizować się nieznanemi dotąd sobie widowiskami; inni znowu—jako wędrowcy, którzy poszli za tajemniczem wezwaniem i mrą na pustyni piasku i nocy. I tak dalej. Nieliczni tylko jako ludzie żywi, to znaczy mocni siłą żywotną, która ich pcha ku źródłu niewygasającego istnienia.

A żaden z tych zgłodniałych nie jest blizki drugiemu. Weźmy naprzykład d'Annunzia i Eekhouda. Jak dalekim jest hellensko pogański Włoch od barbarzyńsko pogańskiego Flamanda. Obaj wielbią życie, obaj olśnieni są wizyą silnej namiętności, a jak jednak inaczej reagują, jak inaczej wchłaniają w siebie ten żar silnych promieni.

Radość życia, jaką oddycha Eekhoud, nie jest bynajmniej nieuświadomionem kąpaniem się w świetle dziecięcia przyrody. Nie, artysta ten stoi na poziomie współczesnej kultury. Wie i rozumie wiele. W upojeniu dzisiejszemi przejawami namiętności życia nie szuka on końcowego zapomnienia. Jest to samotnik kulturalny, który, poznawszy treść duchową dni naszych, nie mógł w te ciasne ramy wtłoczyć tego, czem żyje duch jego i co stanowi jego potęgę. Nie zbrzydło mu jednak istnienie, nie zgorzkniał on, nie zamarł wewnętrznie. Zupełnie przeciwnie. Czuje w sobie niegasnące pragnienie, czuje żądzę widoku płomieni i żaru. Idzie więc do tych, którzy bezwiednie są przedstawicielami odwiecznego zmysłu życia i w ich naiwnem, barbarzyńskiem istnieniu znajduje odblask życia, bo umie, jak świetnie się wyraził Remy de Gourmont, — uogólniać, umie wyczuć w prostaczej mowie, w pospolitych ruchach głębszą treść, umie dojrzeć życie, którego ci ludzie są pionkami.

Tęsknota jego za życiem mało ma wspólnego z wymarzonem upragnieniem zjszczenia się jakiejś wizyi, jest ona raczej wyłącznie silnym głosem wewnętrznym, wołającym o swoje prawa. Życie w swem najmniej złożonem, najintensywniejszem napięciu buntuje się w nim i żąda rozmachu, rozpędu. Intensywna bezpośredniość zmywa wszelkie osady wielowiekowej kultury. Mus nieśmiertelny stwierdza, że silne ciała są potężnym głosem—wszechistnienia.

Gdy się czyta szczere stronice utworów Eekhoud'a, to mimowoli staje przed oczyma Flamandya, bogata w radość wielką. Bo słusznie twierdzi Remy de G.: „M. Eekhoud est un écrivain représentatif d'une race ou d'un moment de cette race". Przypominają się silne, weselne postaci Rubensa i szczególniej rozbawione zadowoleniem zmysłowem, pękające ze śmiechu Jordaens'a. Przypominają się całe dzieje kulturalne tego krwistego narodu niezmęczonych pracowników i niezmęczonych używaczy. Napięcie silne mięśni szło równolegle z szorstką wylewnością radości życia.

Puls życia uderza różnorodnie. Tu bije on ostro, krwiście. Myślowe przetwarzanie mniejsze zajmuje miejsce, wszystko wypowiada się raczej w reagowaniu bezpośredniem. Tu impulsywność prowadzi czę-

sto do zbrodni, do szaleństw rozhukanego stada, lecz w swym przejawie zawiera tyle napięcia, tyle—życia...

Ci, których towarzystwo koi pragnienie Eekhoud'a, są to natury niezłożone, bezpośrednie; jako świerki lub jodły wyrosły one i okrzepły w promieniach słońca, targań wiatrów i ulewy deszczów. Są to pojedyńcze głosy jednego wielkiego dzwonu. Są to widome znaki niewidomej, nieśmiertelnej potęgi.

Ukojenie jego nie jest czemś trwałem, gdyż wszystko to tylko mo) ent silnego życia i dlatego tylko chwilowe zasycenie. Sam widok nie gasi pragnienia. Człowiek, palony pożądaniem, musi sam życie w sobie poczuć, lub — zmarnieje. Tylko że choć w tych, którzy odeszli od pierwotności, głos ten tkwi niemniej silnie, to jednak kryje się on, nie uzewnętrznia, gdyż jest hamowany, starciem z innemi, nieznanemi tamtym natur, potęgami. Bunt jego wybucha czasem jak błyskawica i znowu cofa się i płonie wewnętrznym żarem.

Plastyka tego impulsu jest wielką i dlatego pociąga coraz więcej artystów. Nie odgrywa tu najmniejszej roli jakiś płytki czy głęboki sentymentalizm. Ludzie ci widzą w tym nowym dla artyzmu przejawie życia nieznane im dotąd piękno i łączą się z niem w improwizacyjnym procesie twórczości artystycznej. Drgnienie to oświeciło ich przeczucia, objawiło im symbole ich tęsknoty.

Jako indywidualność G. Eekhoud należy do natur silnych, blizkich Varhaerenowi. Największe kataklizmy duchowe nie złamały jego odporności; panuje on nad tem, co czuje i na co patrzy. Absorbują go ludzie. Przyroda niewielką odgrywa w jego życiu rolę. Jak jego bohaterka („La flaneuse d'amour") „czuje on pewien kult panteistyczny dla pracowitej ludzkości. Jakiś lud olbrzymów potężnych a dzikich nawiedzał jego sny".

„Humanité laborieuse", nie jest to bynajmniej praca, jako pojęcie abstrakcyjne. Nie—to ruch, to krzepkie barki, szerokie piersi, muskularne ręce—to plastyka pracy. Linie, kontury, płaszczyzny i wypukłości—cały ten aparat techniczny plastyki wypełnia tu jakaś treść odrębna; ująć ją w ścisłe określenie niepodobna: jest to bowiem mowa plastyczna, więc nie — słowna. Można ją tylko suggestionować. Sądzę, że dla tej plastyki, która tak absorbuje Eekhoud'a najbliższem będzie „słowem"—muskularne ręce pracy. Praca to odrębny rodzaj ruchu, to odrębnego rodzaju naprężenie muskułów, to świat odrębny. Bezwątpienia ma ona w sobie wiele jeszcze innych stron dla przyżycia i odczucia artystycznego. Plastyka jego pociąga Eekhoud'a. Chmurna jasność wtłaczanych w obroże praw i przepisów natur mocnych swą bezwiednością i silnie uderzającą krwią w żyłach. Należy tylko umięć czytać w tych duszach. Prostota i pierwotność czynią niezwykle przezroczystą powłokę, okrywającą wewnętrzną treść, jasno i wyraziście dojrzeć można w nich uderzenia impulsu ziemi. Są to dzieci ziemi, złączone z nią nie mózgiem myśli, nie świadomością serca a silnem uderzeniem pulsu, reagowaniem odruchowem całego ciała na jej tętno.

Zapatrzenie się w namiętnościową stronę plastyki tych ludzi wypełnia istotę talentu Eekhoud'a. Patrzy on bacznie, wczuwa się głęboko i śmiałą ręką oddaje swoje wrażenia. Nie kryje się z niczem, nie szuka arhitektonicznych pomysłów, przedstawia swe wrażenie, nie licząc się z żadnemi wymaganiami techniki. — Estetyka jego to—wyłączny kult dla piękna. Zawiera ona w sobie odpowiedź na ciągle powtarzające się nieporozumienia w pojmowaniu istoty piękna.

I u nas i we Francyi spotkać można głosy, że piękno to miraż, to kłamstwo, że celem twórczości jest — prawda. Naturalnie wyznawcy tej jakoby nowej teoryi łają tych, którzy wierzą w odrębny świat piękna, a prawdę uważają za przebłysk chwilowy, za chwilowe ułożenie się pewnych warunków zewnętrznych, za środek kształcący wyłącznie obcowanie ludzi między sobą, wzajemne się ścieranie; krzykliwie obwołując nicość tych, co niechcą przyjąć wystawionej przez nich formułki i przenoszą odczucie, przeżycie piękna i wiarę w jego wszechpotęgę, streszczająca całość życia, nad sztuczki kuglarskie, idące za płytkiem upodobaniem chwili. Naciąganie istoty wielkich arcydzieł sztuki do swego szablonu zachwycić może tylko niewybredne gusta. Czem jest ta gadanina, najlepiej wykazać może zgłębienie szczerych tworów prawdziwej poezyi. Dalekim jest Eekhoud od tego „nowatorstwa", dalekim, bo zbyt wielkim artystą. Jego światopogląd jest szeroki, ukochanie życia głębokie, lecz wszechwładną potęgą jego twórczości—jest piękno; odczuwa on twórczo dusze swych włóczęgów, bo widzi w nich — piękno intensywnego napięcia życia.

Zbigniew Brodzki.

NOWE KSIĄŻKI.

Juliusz Tenner. **Estetyka żywego słowa.** Lwów. 1904 r. „Wiedza i życie".

Estetyka sączy się do naszego życia przez wszystkie szczeliny. Rozszerza je ustawicznie sztuka czysta i stosowana. W jednej tylko dziedzinie—tu, gdzie zdawałoby się, reforma jest najbardziej potrzebna i doprawdy nie najtrudniejsza—w dziedzinie żywego słowa — niema zmian na lepsze. Wymowę zaniedbujemy i teraz, jak dawniej, kaleczymy sobie uszy wzajem potokami dźwięków zgrzytliwych, chrapliwych; nie myślimy o jakiejkolwiek poprawności w stosunku akcentów logicznych, mówimy źle, niezrozumiale. To piękne narzędzie muzyczne, jakiem jest mowa, rozstraja się; wyzbywa tonów i akordów harmonijnych. Jeżeli kiedy, to z pewnością po wysłuchaniu kilku oracyj przynosi się u nas „z miasta uszy pełne stuku... potępieńczych swarów". Pozostawiając już na uboczu poprawność językową i niezwykłe u nas umiłowanie solecyzmów—nie sposób pominąć faktu, że wszędzie i zawsze—nawet na estradzie i na scenie—zapoznajemy wartość muzyczną języka. Jest to wszystko dość przykre i dość smutne samo przez się, smutniejsze zaś jeszcze, bo wywołuje zło stokroć większe—oto... „nie umiemy czytać". Czemu tak jest, czemu koniecznem następstwem braku kultury we władaniu mową jest ów zanik „trzeciego ucha" (Nietzsche) i co zatem idzie, poczucia melodyi w wierszu czy w poetyckiej prozie—to doskonale wyjaśnia p. Tenner. Wykazuje on, że przebogate skarbnice wzniosłych wrażeń zamknięte są dla nas, że wielu zjawisk wspaniałych nie odczuwamy, że wielu usiłowań — zwłaszcza zmierzających ku zjednoczeniu sztuk ku wszechsztuce — prawie, że pojąć nie możemy, zaniedbawszy sztuki wymowy i sztuki czytania. Temu złu chce p. Tenner zaradzić w swej książce. Chce nauczyć czytać, chce wskazać, ile ukrytego piękna zawiera niekiedy utwór poetycki, piękna, które tylko dobre jego wygłoszenie objawić nam może. Chce wreszcie, zachęcić przynajmniej swych czytelników do kształcenia w sobie poczucia stylu i harmonii — poczucia najsubtelniejszych odcieni dźwiękowych w żywej mowie—do kształcenia „trzeciego ucha", o którem mówił mistrz Nietzsche. Daje więc wskazówki, jak urabiać głos, aby był podatny do wszelkich modulacyj, wykłada mechanikę głosu, mówi o artykulacyi, oddychaniu, przecinkowaniu i t. d. Załatwiwszy się w ten sposób ze stroną techniczną, przechodzi do właściwego przedmiotu swej książki, uczy analizować krytycznie tekst, mówi o regułach, jakim powinno podlegać akcentowanie, mówi wiele o pierwiastkach muzycznych żywego słowa, o rytmie, rymie, tempie i t. d.

Ta główna część książki przynosi bezwątpienia wiele szczegółów ciekawych, nowych—nie wszędzie jednak stoi na wysokości zadania. P. Tenner musi tu wyrażać słowem to, co tylko głosem właściwie wyrazić można—różnice np. w akcentowaniu słów zależnie od nastroju—i brak mu sił prawie zawsze. Posługuje się też często cytatami, ale dobiera je niezawsze zręcznie; przytem ta mozajka obcych zdań w cudzysłowach nuży i rozprasza uwagę przy czytaniu. Nie na wszystkie sądy p. Tennera zgodzić się można. Popełnia on np. błąd wszystkich deklamatorów estradowych i wyobraża sobie, że zespolenie zgrzytliwych a głośnych „Dzwonów" Ujejskiego z cudną, nieziemską melodyą chopinowskiej sonaty wytworzy coś więcej, niż kakofonię. Ba—twierdzi nawet, że w tym zespole „słowo jest główną treścią, a muzyka tylko tłem". Natomiast „Dzwony" Poego nie podobają się p. Tennerowi, nawet w oryginale. I w wielu kwestyach, tyczących się rytmiki, obok zdań autora możnaby postawić znaki zapytania. Sporną i ciekawą sprawę np. stóp prawidłowych w języku polskiem uważa p. Tenner za przesądzoną, stając na t. zw. przez Rowińskiego „szkolnem" stanowisku. [1]).

Bądź co bądź książka p. Tennera zwraca uwagę na pole badań, leżące dotąd u nas odłogiem, odkrywa i oświetla wiele z takich zjawisk w poezyi, zwłaszcza w nowej, o których istnieniu ogólnie nie wie się nic, albo prawie że nic. Jest więc pożyteczna, a dla szerszego ogółu może stać się nawet nieodzowną przy zapoznawaniu się z twórczością lat ostatnich. Uczy dalej świadomego posiłkowania się i władania taką bronią, jaką jest żywe słowo—stać się więc może—i oby jak najrychlej—aktualną.

Br. W.

Henryk Salz—**Powrotna Fala**—poezyj serya trzecia. Stanisławów A. Staudacher i S-ka. 1905 r.

Aby być poetą, należy czuć głęboko i umieć tworzyć—uzewnętrzniać swe życie wewnętrzne w wizyach zmysłowych. Najszersza inteligencya, największa zdolność do abstrakcyjnego przetwarzania wszelkich zjawisk nie zastąpi potęgi twórczej. Najumiejętniejsze naśladownictwo najdoskonalszych wzorów nie stworzy dzieła piękna i pozostanie dalekiem od prawdziwej poezyi,—poezyi szczerej, odrębnej, kapryśnej i żywej. Pan Salz w swoim zbiorku dał nam cały szereg wierszy, świadczących o sporej kulturze umysłowej autora, o pewnej wrażliwości na treść psychiczną dzisiejszego człowieka, lecz chłodno i ciemno i martwo w budowli, którą nam podaje za tajemniczy zamek wewnętrznej jaźni. To, co czytamy w zbiorku „Powrotna Fala" dokumentuje może pewną pomysłowość autora, lecz obce jest drganiu płomieni natchnienia. Wyrazy, których p. S. używa, nie łączą się w barwne akordy zmysłowe, nie krzyczą, nie szem-

---

[1]) Niekiedy używa autor terminologii niezbyt szczęśliwej. Mówi o konieczności harmonizowania akcentów poszczególnych *lokalnych*, a to zależnie od pewnych względów wyższych — jak charakter sytuacyi i t. d., wprowadza przytem wątpliwej wartości pojęcie „akcentu nastrojowego" (możnaby się od biedy dopatrzyć tu nawet pewnego *contradictio*), zamiast prostszego: nastrój czy zestrój akcentów. Nastrojowi, symbolowi i ich roli w poezyi współczesnej poświęca autor po za tem aż dwa rozdziały w książce, oba jednak są bardzo źle napisane.

Są też i błędy językowe, rażące niemile w „Estetyce żywego słowa". „Poezya zbliża się jasnością swoich konfur" (str. 50), „powietrze uderzy pewnym *szokiem* w wiązadła" (str. 49), „czego jednak nie można: to jest „zrobić" głos" (str. 40).

rzą, nie upajają, nie przejmują drżeniem lub przeczuciem, a mechanicznie bezduszne, sztucznie często łączą się jeden z drugim, jako znaki matematyczne, służące tylko do utrwalania pracy mózgu. Być może p. S. marzył, śnił, tęsknił i płakał, być może poznał siłę odrębnej swej jaźni, lecz mowa jego jest zimna. Niema w niej życia, niema przypadkowości i entuzyazmu. Jest tylko wypracowana forma i uczone rymowanie, uczone choć nie kunsztowne. Autor nie zdołał przełamać więzów, które go krępują i nie dają mu — tworzyć. Jego forma językowa nosi znamię pracy i dobierania. Brak jej harmonii, dźwięku i barwy. Cały ten zbiorek to tylko usiłowanie powiedzenia czegoś, to tylko chęć tworzenia. Siły twórczej autor nie przejawił.

Zb.

Życie publiczne w Rosyi.

Zatwierdzone Najwyżej uchwały komitetu ministrów co do porządku wykonania punktu 7-go Ukazu z d. 12 grudnia 1904 r. w sprawach, dotyczących Królestwa Polskiego, omawiając wiele ważnych stron życia mieszkańców Królestwa, nie dają — jak piszą *Rus. Wiedomosti* — ani na jedną z zaleconych do rozpatrzenia kwestyi odpowiedzi, mogącej rozstrzygnąć je w sposób zasadniczy.

„To prawda—pisze dalej autor artykułu—że komitet ministrów zniósł niektóre bijące w oczy postanowienia, pod których brzemieniem uginala się ludność Królestwa Polskiego. W szkole np. nie będzie odtąd miejsca na pedagogiczny kanibalizm, jakim było, bezwątpienia, nakładanie kar na dzieci, rozmawiające po polsku w godzinach po za wykładowych; dalej — nonsens pedagogiczny, polegający na wykładaniu języka polskiego w języku obcym dla dzieci—jest zniesiony (mówiąc nawiasem, dla szkół średnich tylko fakultatywnie, w 2-im bowiem punkcie uchwał zaznaczono, że język polski w średnich zakładach naukowych powinien być wykładany tylko *pragnącym tego*). Zaprzestanie stosowania w przyszłości tych i tego rodzaju drobnych, lecz bolesnych ukłóć i postawienie na porządku dziennym sprawy wprowadzenia w życie instytucyi ziemskich i samorządu miejskiego w Królestwie Polskiem—oto treść uchwał komitetu ministrów, dotyczących Królestwa.

Co się tyczy ostatniego punktu, t. j. kwestyi wprowadzenia instytucyi ziemskich i samorządu w miastach, to przyznanie w zasadzie konieczności przeprowadzenia tej reformy w kraju należy powitać z całem uznaniem. Niemniej jednak znaczenie zmian będzie zależne całkowicie od tego, jakie projekty do prawa opracuje w tych sprawach generał-gubernator warszawski, jakie zmiany poczyni w nich ministeryum spraw wewnętrznych i, wreszcie, w jakiej formie ostatecznej będą one zredagowane w radzie państwa.

Bądź co bądź jednak, §§ 12 i 13, zawierające ową obietnicę reformy ziemskiej i miejskiej, przy całej swojej niejasności, są najbardziej wartościowe w Najwyżej zatwierdzonych d. 19 czerwca uchwałach komitetu ministrów, nie zabijają bowiem nadziei upragnionego rozstrzygnięcia kwestyi wielkiej doniosłości społecznej. Reszta paragrafów nie ma nawet takiej wartości warunkowej. Komitet ministrów, jak się zresztą należało tego spodziewać, nie mógł się powstrzymać od przejęcia się poglądami biurokracyi, która od 40 lat patrzy na Królestwo Polskie jak na kraj zawojowany, gdzie ciągle jeszcze nie nadszedł czas wprowadzenia porządku zupełnie normalnego, Z tego punktu widzenia wszystkie wielostronne potrzeby kraju są rozpatrywane i zaspakajane pod kątem utrwalania w kraju państwowości rosyjskiej. Ten ostatni wzgląd stał się synonimem zaciekłej rusyfikacyi, jakkolwiek komitet ministrów zaznacza, że „w widokach rządu nieleży, rzecz oczywista, dążenie do rusyfikowania Polaków i ich wynarodowienia".

Utrwalenie państwowości rosyjskiej w Polsce doprowadziło do tego, że zagrodzono wszystkie drogi samodzielności społecznej, że włościańska ludność kraju, t. j. ten odłam, na którym opierano największe nadzieje w kierunku rozkwitu owej państwowości, korzysta z opieki lekarskiej w daleko mniejszym stopniu, niż w innych miejscowościach państwa, że sprawa szkolna w kraju i oświata ludu upada, zamiast się rozwijać i że, wogóle, kraj ten jest oddany we władzę i na łaskę przemożnej biurokracyi w daleko większym zakresie, niż gdziekolwiek indziej. Wszystko wogóle: życie społeczne, cele i zadania szkoły, potrzeby ekonomiczne ludności, jej sprawy gospodarcze i t. d. — wszystko jest składane na ołtarzu „państwowości". Rzekłbyś—starano się przeprowadzić nad Królestwem Polskiem wielkie, o ile można najściślejsze, doświadczenia socyalne, któreby wykazały, jakie osiągnie się wyniki, jeśli państwowość, będąca, w naturalnym przebiegu rzeczy, środkiem do osiągnięcia ogólnego dobra — postawiona będzie jako cel wytyczny, w imię którego dozwala się jedynie popierać interesy tegoż dobra ogólnego. Rezultaty osiągnięto bardziej niż jaskrawe, domagające się przerwania dalszych tyle zgubnych doświadczeń.

Jedyna drogą, jaka może doprowadzić do zasadniczego i trwałego rozstrzygnięcia kwestyi polskiej, jest zrzeczenie się dawnego systemu nieufności do sił społecznych, zniesienie przeszkód, tamujących rozwój kulturalno-narodowy Polaków i zaniechanie nietylko w słowach, lecz i w czynie polityki rusifikacyjnej.

Tymczasem w uchwałach komitetu ministrów niema o tem najmniejszej wzmianki, natomiast komitet, rozproszył się w szczegółach, wprowadzając szereg poprawek. Komitet ministrów twierdzi, że „szkoła w Polsce powinna być, jak dawniej, rosyjska", jakkolwiek uczniowie podczas pauz pomiędzy lekcyami mogą rozmawiać ze sobą po polsku, że w biurowości gminnej powinien mieć przewagę język rosyjski, jakkolwiek w niektórych wypadkach komitet, po długich i wyczerpujących debatach, zgadza się na używanie współrzędnie z rosyjskim i języka polskiego, z tem jednakże zaostrzeżeniem, aby bezwarunkowo „w każdym wypadku za oryginał był uważany tekst rosyjski". Używanie języka rosyjskiego komitet uważa za rzecz obowiązkową nawet w wewnętrznej biurowości instytucyi i towarzystw prywatnych we wschodnich częściach gubernii: lubelskiej, siedleckiej, łomżyńskiej i suwalskiej.

Przystępując do rozważania kwestyi oddawna oczekiwanego wprowadzenia w Królestwie Polskiem sądu przysięgłych, komitet ministrów uważa decyzyę w tej sprawie w sensie twierdzącym za przedwczesną, ponieważ „dzisiejszemu charakterowi życia politycznego w kraju, odpowiedziałby współudział ludności w sprawowaniu sądów" tylko w wyjątkowych warunkach, t. j. w tak zwanych sądach przysięgłych „specyalnego składu", z podniesionym cenzusem, a zresztą wnioski w tej mierze mają być rozpatrzone przez specyalną radę", której przewodniczy senator Goremykin, w związku z rozpatrzeniem ogólnem kwestyi zaprowadzenia sądów przysięgłych „specyalnego składu". Natomiast komitet ministrów nie znalazł przeszkód w kierunku wprowadzenia w warszawskim okręgu sądowym instytucyi honorowych sędziów pokoju i zalecił „ministrowi sprawiedliwości, aby, po porozumieniu się z prezesem rady specyalnej, mającej na celu przejrzenie ustawodawstwa, przedstawił do decyzyi połączonych departamentów rady państwa wnioski w sprawie wprowadzenia w Królestwie Polskiem posad sędziów honorowych".

Charakterystyczne są motywy, które skłoniły komitet ministrów do kroku tak „liberalnego". Jest ich dwa: po pierwsze, z powodów charakteru politycznego, uważany był za niemożliwy porządek obsadzania tych stanowisk drogą wyborów, trudność zaś ta będzie zupełnie usunięta z chwilą, kiedy, zamiast wyborów, sędziowie honorowi będą mianowani z ramienia rządu. Po drugie, komitet w zupełności zgodził się z opinią komisyi, obradującej w celach przejrzenia sądowniczego ustawodawstwa, która uważa, że „obawy rządu co do wywierania wpływu na wymiar sprawiedliwości przez honorowych sędziów pokoju, rekrutowanych z ludności miejscowej gubernii Królestwa Polskiego, nie powinny istnieć, ponieważ, na zasadzie ogólnego prawa z dnia 21 czerwca 1889 roku, liczba sędziów honorowych, biorących udział w rozstrzyganiu każdej sprawy nie może przewyższać ogólnej liczby cyrkułowych i dodatkowych sędziów pokoju razem z prezesem, wobec czego honorowi sędziowie pokoju nie mogą mieć wpływu na rozstrzyganie spraw".

W ten sposób rozumując, honorowi sędziowie pokoju są najzupełniej nieszkodliwi i nic nie stoi na przeszkodzie, aby posady takie ustanowić w Polsce. Co się zaś tyczy sądu przysięgłych, komitet, jak to już zaznaczyliśmy, postępuje z większą ostrożnością, nie posiada bowiem, jak się zdaje, utrwalonej pewności, czy specyalna rada senatora Goremykina potrafi w ten sam sposób unieszkodliwić członków sądów przysięgłych „specyalnego składu".

„Przytoczone opinie — kończy z całą słusznością autor — charakteryzują cały dziennik, zawierający motywy uchwał komitetu ministrów w sprawach, dotyczących Królestwa Polskiego".

Nowoje wremia zamieszcza wysoce znamienną korespondencyę z Wilna.

„Z powiatowych miast i wsi—pisze korespondent—dochodzą nas trwożne pogłoski o niemal tłumnem przechodzeniu na katolicyzm mieszkańców całych osad; mówią o możliwem zamknięciu prawosławnych parafij i cerkwi. Przejście na „wiarę polską, pańską" uważane jest za bardzo prostą sprawę. Religijny hazard ogarnął szczególnie silnie niższe warstwy ludności i szlachtę, która dumnie podniosła głowy, przyprzęgając po drodze do kwestyi religijnej także politykę, nie chce bowiem rozgraniczać pojęć: katolicyzmu od polonizmu.

Nas, mieszkańców miasta, przedewszystkiem uderza widok codziennych prawie procesyj religijnych: jest to jeden ze środków — najskuteczniejszych, jak się zdaje—wykazania przewagi katolicyzmu nad prawosławiem.

Procesye są organizowane systematycznie przez różne stany, stowarzyszenia, korporacye, np.: włościan wsi okolicznych, cechy rzemieślnicze, kupców, przewoźników, stróżów pewnych ulic i cyrkułów policyjnych, urzędników państwowych i prywatnych i t. p. Setki, niekiedy tysiące bezczynnego, lecz nastrojonego uroczyście ludu płci obojej zbierają się w punkcie z góry oznaczonym; tutaj organizatorowie procesyi zaopatrują się w wielki krzyż, kwiatami ozdobiony, sztandar i 2 — 4 chorągwie kościelne, poczem, głośno śpiewając hymny, idą uroczystym pochodem ku Kalwaryi, odległej od środka miasta jakieś 6 do 7-iu wiorst. Duchowieństwa nigdyśmy pośród procesyj tych nie widzieli. Wszyscy, kogo pochód na drodze spotyka, muszą się zatrzymywać i zdejmować kapelusze, oczekując z szacunkiem, dopóki nie przejdą nietylko ludzie, niosący przedmioty kultu, lecz cały tłum, podążający z nimi; w przeciwnym razie przechodzeń naraża się, iż w dobitnych wyrażeniach zwrócą mu uwagę na niestosowność jego zachowywania się.

Dotychczas nie zauważyliśmy tak uważnego i pełnego szacunku postępowania ze strony katol.-Polaków względem procesyj prawosławnych. Głośne śpiewy pobożnych od wczesnego ranka do północy rozbrzmiewają na ulicach; patrzysz i dziwisz się, jak wiele jeszcze wolnego, taniego czasu znajduje nasz ubogi lud. Duchowieństwo katolickie prowadzi swą ustną propagandę pomiędzy rodowitymi litwinami, białorusinami, b. unitami, prawosławnymi słabszej woli—z wielką zręcznością i rozumem.

Napływ duchowieństwa katolickiego do Wilna w czasie obecnym tak jest wielki, że mimo-

woli narzuca się myśl: czy nie otworzył u nas Watykan swojej filii?".

Z powodu obecnej sytuacyi wyższych zakładów szkolnych, *Syn Otieczestwa* zamieszcza artykuł tej osnowy:

„Ubiegły rok akademicki należy uważać za pustą, niezapełnioną kartę w kronice wyższego nauczania w Rosyi. Przyczyny smutnego zjawiska dostatecznie już zostały wyjaśnione w rosyjskiej prasie peryodycznej, której wywody znalazły potwierdzenie w poważnych oświadczeniach zarówno osób oddzielnych, stanowiących autorytet w sprawie, jak całych rad wielu wyższych zakładów szkolnych.

Rozwój nauki, jej wchłanianie przez poszczególne żywe jednostki, jej stosowanie w życiu—wszystko to wymaga ruchu spokojnego, postępowego; to sprawa czasu, rezultat ewolucyi powolnej, systematycznej i dlatego trwałej. Szkodliwe są tutaj wszelkie przerwy. Przerwa w pracy naukowej narusza niezbędną harmonię, rozrywa ogniwa tego łańcucha, co w tym jednym przypadku właśnie nie powinien być zrywany.

W interesie więc przyszłości narodu nie należy dopuścić, aby podobny stan przetrwał w ciągu następnego także roku akademickiego. Instytucya jednakże, obecnie zawiadująca oświatą narodową, nie zdaje się być nateraz, zdolną do wyprowadzenia szkoły wyższej ze stanu, w którym się znajduje. I jak odrodzenie naszego ustroju państwowego dopełnione być może tylko w drodze samodzielnej działalności żywych sił społecznych kraju, tak samo siły te w osobach nauczycieli szkoły wyższej powinny jąć się samoistnego nawiązania rwącego się łańcucha wyższego wykształcenia w Rosyi.

To ich obowiązek moralny względem ojczyzny, usprawiedliwienie w oczach tych, którzy skłonni są posądzać ich o rozmyślną obstrukcyę.

Organizacya prywatnych wolnych uniwersytetów stanowi palącą potrzebę chwili. Kadry nauczycielskie są gotowe i liczne. Ziemstwa, miasta i osoby prywatne znajdą niewątpliwie potrzebne środki, które nie mogą być zbyt wysokie.

Nie mówiąc o zakładach takich, jak *University Extension* w Anglii i Stanach amerykańskich, „ludowe uniwersytety" skandynawskie i belgijskie, przypominamy, że istnieje podobny „wolny" uniwersytet w Paryżu—rosyjska szkoła wyższa, powstała jedynie dzięki inicyatywie prywatnej.

Studya na wydziałach historyczno-filologicznym, prawnym i społeczno-ekonomicznym nie wymagają żadnych pomocniczych urządzeń oprócz bibliotek. Prywatne szpitale i kliniki nie odmówią, każde w zakresie swej specyalności, pomocy do wykształcenia w medycynie uczącej się młodzieży. Trudniej będzie zorganizować nauczanie w zakresie przyrodoznawstwa i techniki i tutaj jednak przy pomocy osób zamożnych z pośród społeczeństwa udałoby się wiele zrobić, zwłaszcza dla chwili przejściowej.

Niewątpliwie istnieje pośród młodzieży rosyjskiej znaczna liczba kochających naukę bezinteresownie, i oni to właśnie męczą się i zniechęcają podczas przymusowej bezczynności, której końca położyć nie mogą z powodów moralno-politycznych. W prywatnych, wyższych zakładach szkopuł ten zniknie, gdyż oparte one będą wyłącznie na zasadach wolności pracy naukowej, bez wszelkiej domieszki względów politycznych.

Ze sprawą tą należy się śpieszyć. Kolegia profesorskie w miastach uniwersyteckich winny wziąć na siebie inicyatywę, nie zrażając się hamulcami i przeszkodami. Położenie wyższego nauczania w Rosyi wymaga natychmiastowej i pozytywnej decyzyi; odpowiedzialność przed ojczyzną jest wielka... *Periculum in mora!*".

Pisma Petersburskie zamieszczają krótki opis wypadków, jakie zaszły świeżo w Libawie:

„W niedzielę d. 23 lipca na pogrzebie dorożkarza Jana Predeneka, zabitego w bójce z kozakami, zebrał się na cmentarzu tłum w ilości kilku tysięcy ludzi. Podczas chowania zwłok socyaliści wygłaszali gorące mowy, śpiewali przytem pieśni rewolucyjne na nutę śpiewów pogrzebowych. Dokoła cmentarza rozstawione były patrole policyjne i wojskowe. Kiedy zamieszkały naprzeciwko cmentarza podoficer żandarmeryi Iwan Gersz wraz z goszczącym u niego podoficerem żandarmeryi portu wojennego Iwanem Elde wyszedł z mieszkania, niewykryty osobnik, zaszedłszy z tyłu, zabił Gersza na miejscu. Kiedy drugi żandarm rzucił się w pogoń za uciekającym zabójcą, ktoś strzelił znowu do niego z rewolweru, a kula przebiła Eldemu oba policzki. Skutkiem tych wystrzałów na cmentarzu zapanowała panika, w pośpiesznej ucieczce wiele kobiet i dziewcząt pogubiło kapelusze, pantofle, nawet spódnice. Oddział dragonów, znajdujący się w pobliżu cmentarza, rozproszył demonstrantów bez użycia broni".

Birżewyja Wiedomosti piszą:

Losem naszym obecnie jest robić odkrycia.

Odkryliśmy Japończyka, jego kulturę i siłę. Odkryliśmy robotnika rosyjskiego i włościanina.

A teraz odkrywamy „inorodców": guryjców, mingrelców, kirgizów, baszkirów i t. d.

Niedawny zjazd baszkirski w Ufie odkrył ten naród.

„Doprowadzony do upadku duchowego i ekonomicznego, wypróbowany w cierpieniach naród Baszkiryi po raz pierwszy ma możność otwarcie, przez swoich pełnomocników, opowiedzieć o swoich potrzebach naglących"—oznajmił Szakir Tukajew, wójt gminy Kałkaszewskiej, wybrany na przewodniczącego.

Baszkirów jest 4 miliony. Mają oni pozorny samorząd. Ale, w rzeczywistości, ani jedna uchwała ich zgromadzeń nie wchodzi w życie bez zatwierdzenia gubernatora.

Teraz pragną mieć rzeczywisty samorząd i brać udział w życiu państwowem.

A myśmy wyobrażali sobie, że oni prócz kumysu i baraniny o niczem nie myślą.

Tak przynajmniej wydawało się władzy.

Prasa rosyjska notuje coraz bardziej niepokojące wiadomości o grożącym Rosyi głodzie:

„Najrozpaczliwsze wieści o stanie ozimin—pisze *Syn Otiecz.*—nadchodzą z gubernij: riazańskiej, wiackiej, nowgorodzkiej, penzeńskiej, samarskiej, saratowskiej, tambowskiej, tulskiej, włodzimierskiej i twerskiej. Większość ludności włościańskiej nie będzie tam w stanie własnemi środkami ani obsiać pól, ani przeżyć do następnych żniw. Zupełnie źle wyglądają w znacznej części gubernie: ołoniecka, pskowska, kostromska, moskiewska, niżegorodzka, kazańska, symbirska, kurska, woronezka, charkowska, jekaterynosławska, chersońska i obwód wojska dońskiego. Wszystkie pozostałe gubernie środkowej, południowej i zachodniej Rosyi mają urodzaj ozimin „pstry", czyli rozmaity w różnych miejscowościach, ale prawie każda z nich w pojedynczych powiatach i grupach gmin musi również uwzględniać bardzo poważny nieurodzaj.

Położenie pogarsza się skutkiem tego, że z pośród wymienionych gubernij riazańska, kurska, penzeńska, niżegorodzka, włodzimierska, saratowska, jekaterynosławska i obwód doński nie mogą liczyć na pomyślny zbiór i zbóż jarych. W pierwszych trzech guberniach złe jare zboża stwierdzono w połowie powiatów, a w pozostałych guberniach — w dwóch, trzech, a czasem i czterech powiatach. A zatem grozi nam klęska zbliżona rozmiarami do powszechnej ruiny włościan w latach 1891 i 1892".

KRONIKA

Sprawy społeczne i polityczne. Konsulat austryacki w Warszawie otrzymał rozporządzenie, ażeby korespondencya z poddanymi austryacko-węgierskimi prowadzona była w takim języku, w jakim interesant zwraca się do konsulatu.

— Ministeryum spraw wewnętrznych wyjaśniło, że prawo wytaczania spraw karnych przeciwko robotnikom fabrycznym, oskarżonym za samowolne zerwanie umowy i zaprzestanie pracy przed upływem terminu, lub też przy umowie na czas nieokreślony bez wypowiedzenia właścicielowi na dwa tygodnie z góry—należy wyłącznie do inspekcyi fabrycznej i do zastępującej ją władzy policyjnej.

— Wydział lekarski uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie oświadczył się za dopuszczeniem kobiet-lekarzy do stanowiska asystentów przy katedrach uniwersyteckich.

— Ministeryum finansów opracowywa projekt reorganizacyi kuratoryów trzeźwości.

— W Bazylei odbył się zjazd syonistów. Znaczną większością głosów przyjęto rezolucyę przeciw Ugandzie i terytoryalizmowi wogóle. Zwyciężyli syoniści palestyńscy.

— *Hacefira* donosi: „Policya turecka uchwaliła wydalić z Konstantynopola wielu Polaków, poddanych państw: rosyjskiego i niemieckiego. Szczególniej dotyka uchwała izraelitów, drobnych handlarzy".

Zaburzenia i zamachy. *Warsz. Dn.* z d. 28 z. m. donosi: „wczoraj, o godz. 3-ej po poł., tłum żydów napadł na ulicy Dzikiej na jakiegoś człowieka i zaczął go bić kijami. Policyant posterunkowy z dwoma żołnierzami rzucili się na pomoc. Tłum rozproszył się, przyczem ktoś strzelił do żołnierzy. Wówczas jeden z szeregowców dał strzał do strzelającego i zranił go w nogę. Inni żydzi podnieśli rannego i zabrali."

— *Warsz. Dn.* pisze: „Około godz. 12-ej w nocy patrol wojskowy zauważył, iż na Starem Mieście zebrała się grupa uliczników w liczbie 12, którzy wszczęli bójkę, a podczas niej jeden z nich, niejaki Wiecha, otrzymał pchnięcie nożem. Kiedy patrol polecił im rozejść się, uczestnicy bójki rzucili się na żołnierzy z nożami i usiłowali wyrwać im karabiny. Jeden z żołnierzy, broniąc się, zadał ranę bagnetem i postrzałową jednemu z napastników, niejakiemu Dąbkiewiczowi, od której tenże umarł. W bójce i napadzie na patrol brali udział i złodzieje miejscowi. Jeden z nich, krewny zabitego, Więckowski, choć ścigany przez policyanta, zdołał umknąć."

— Na st. Wody Mineralne (Kaukaz) strajkujący zatrzymali pociąg i zagrozili maszyniście śmiercią, jeżeli poważy się jechać. Lokomotywę zniszczono. Z trudem udało się przyczepić inną. Na maszynie pojechał naczelnik depo. Do Rostowa pociąg szedł pod ochroną siły zbrojnej, z powodu zamieszek na st. Tichorieckiej oraz niektórych innych.

Bezrobocia. *Warsz. Dn.* zawiadomił, że fabryka Lilpop Rau i Loewenstein została zamknięta na czas nieograniczony. Wskutek strajków w zakładach putiłowskich i innych otrzymała ona znaczne zamówienia na budowę wagonów dla kolei żelaznych, wykonania ich jednak nie podjęła się z powodu strajku robotników, których żądaniom nie może zadość uczynić, bez zgody wszystkich akcyonaryuszów. A zebrać tych ostatnich w komplecie w tej chwili niepodobna.

— W przędzalni Briggsa w Markach z powodu niedotrzymania umowy, robotnicy urządzili bezrobocie. W fabryce machin i odlewni Orthweina i Karasińskiego zarówno jak w fabryce Rohna i Zielińskiego zawieszono pracę. — W emaliarni „Labor" na Pradze, gdzie pracuje 1100 robotników, praca wznowioną została.

— W Dąbrowie górniczej d. 26 z. m. powróciły do pracy wszystkie fabryki i kopalnie, które zastrajkowały na wezwanie Huty Bankowej. Żądań żadnych nie stawiano.

— W Solcu strajkowali na Wiśle robotnicy, którzy pracują na krypach, żądając poprawienia warunków. Ruch spławny ustał.

— Hutę Bankową w Dąbrowie Górniczej zamknięto na czas nieograniczony.

Sprawy szkolne. Rady opiekuńcze szkół handlowych w Lublinie, Kaliszu, Kielcach i Radomiu wystąpiły z podaniem o wprowadzenie do tych szkół języka wykładowego polskiego i zamianę ich na szkoły prywatne bez praw. W podaniu obywateli radomskich zrobiono zastrzeżenie, że w razie niewprowadzenia do szkoły języka polskiego z budżetu miasta należy wykreślić roczną zapomogę 1000 rb. i zaprzestać płacić 15 proc. na szkołę od świadectw przemysłowych.

Hygiena i zdrowie. W Otwocku ma stanąć uzdrowisko dla alkoholików na gruncie, darowanym przez p. Kurtza.

Literatura i sztuka. W Tow. Zachęty sztuk pięknych wakuje stypendyum Heleny Korwin-Szymanowskiej w kwocie 116 rb. 50 kop. dla młodzieńca urodzonego w Królestwie Polskiem, katolika. Stypendyum przyznane będzie wykonawcy najlepszego studyum olejnego z natury oraz szkicu kompozycyi za zadany temat. Kandydaci zgłaszać się winni najpóźniej do 20 sierpnia r. b.

Prasa. Komendant wojskowy Łodzi, gen. Shutleworth, zawiesił *Goniec Łódzki* na czas nieograniczony.

— P. Stanisław Plenkiewicz otrzymał pozwolenie na wydawanie w Warszawie tygodnika pod tytułem „Praca polska", poświęconego sprawom przemysłu i handlu.

— Warszawa otrzyma wkrótce nowe pismo polityczne „Nowiny", które ma wychodzić w dni poświąteczne zrana.

Wiadomości ekonomiczne. Główny zarząd do spraw gospodarstwa miejscowego zawiadomił gubernatorów, iż uznał za konieczne uzupełnić ustawy normalne towarzystw wzajemnej pomocy, kas oszczędnościowo-pożyczkowych, pogrzebowych, posagowych i t. p. w ten sposób, że gubernatorowie i naczelnicy miast nietylko mają prawo zamykać zebrania ogólne w razie ujawnienia na nich rzeczy, przeciwnych porządkowi państwowemu i bezpieczeństwu publicznemu, lecz również zawieszać działalność instytucyi w razach nadzwyczajnych własną władzą, zanim nastąpi decyzya ministra spraw wewnętrznych, do której gubernator jednocześnie się odwołuje.

— W całem państwie rosyjskiem czynnych było z końcem m-ca marca r. b. 6605 kas oszczędności z wkładami sięgającymi cyfry 925,000,000 rubli (wobec 923,000,000 rubli z końcem marca roku poprzedniego).

— Fabryka fortepianów Juliana Maleckiego w Warszawie została zamknięta. Przez cały czas swego istnienia wykonała ona około 6,000 sztuk instrumentów na sumę blisko 3,000,000 rb.

Komunikacye i drogi. Ministeryum komunikacyi zawiadomiło Radę zarządzającą kolei Warsz.-Wied., że podwójne napisy na stacyach, na biletach, na ogłoszeniach mają być niezwłocznie wprowadzone. W kwestyi prowadzenia biurowości w języku polskim ma nastąpić porozumienie z gen. gubernatorem warszawskim. O tej ostatniej sprawie zebranie wszystkich delegatów kolei postanowiło w myśl Ukazu Najwyższego używać języka polskiego w korespondencyi wewnętrznej.

— Firma techniczna „Drzewiecki i Jeziorański" na skutek skargi do zarządu kolei w Petersburgu o nieprzyjmowanie na stacyach kolei Nadwiślańskich jej ogłoszeń w językach polskim i rosyjskim, uzyskała rozporządzenie na mocy którego ogłoszenia takie mogą być rowieszane na wszystkich stacyach.

— Z powodu bezrobocia na kolei władykaukazkiej komunikacya z Kaukazem została prawie zupełnie przerwana.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca **A. Dembowski.**

Дозволено цензурою Варшава, 21 Іюля 1905 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego,—Mazowiecka 8.